

VariArt

pismo kulturalno-literackie
nr 01/2016 (30)



www.wbp.olsztyn.pl

NOWA
ODSŁONA



ISSN 2080-1483

WALDEMAR TYCHEK

Czytanie alfabetu „wtę” lub „wewtę”

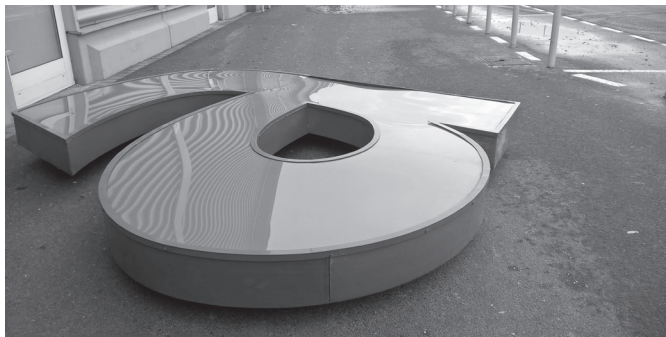
W obecnych, jakże trudnych dla mężczyzn, czasach nabieram przekonania, że ci, którzy twierdzą, iż w opinii kobiet litera „A” stoi zawsze na początku alfabetu, najprawdopodobniej nie znają natury kobiet albo są po prostu analfabetami.

Logika kobiet jest zawsze niebanalna, a w pewnych szczególnych okolicznościach staje się wręcz niezwykła i wtedy jedyne co nam pozostaje, to nie upierać się.

Kobiety na przykład potrafią wierzyć w to, że 2 plus 2 zmienia się w 5, jeśli będą wystarczająco długo płakać i na koniec zrobią karczemną awanturę.

Już Sokrates powiedział: „żeń się – jeśli znajdziesz dobrą żonę, będziesz szczęśliwy, jeśli złą – zostaniesz filozofem”. Wszystkim jednak wiadomo, że każda żona, wraz z upływem czasu, staje się Ksantypą, natomiast nie każdemu jest pisane stać się Sokratesem.

Podobnie rzecz się ma z literą „A” – wszystko zależy od tego, czy alfabet odczytywać z lewa na prawo, czy też z prawa na lewo, czyli jak by to powiedziały kobiety – „wtę” lub „wewtę”.



Pewna moja znajoma, przystojna niestety blondynka, ale za to z charakteru ruda, doprowadziła kiedyś do karambolu na drodze szybkiego ruchu, a to za sprawą ręki, którą wystawiła nieopatrznie przez okno samochodu. Tłumaczyła później, upartym w swojej bezrozumnej dociekliwości policjantom, że jej wcale nie chodziło o to, żeby dać tym gestem znać, że skręca „wewtę”, bo jej się kierunkowskazy zepsuły. Kierunkowskazy działały prawidłowo, ona chciała tylko sprawdzić, w jakim kierunku wieje wiatr. No czy tak trudno to zrozumieć?

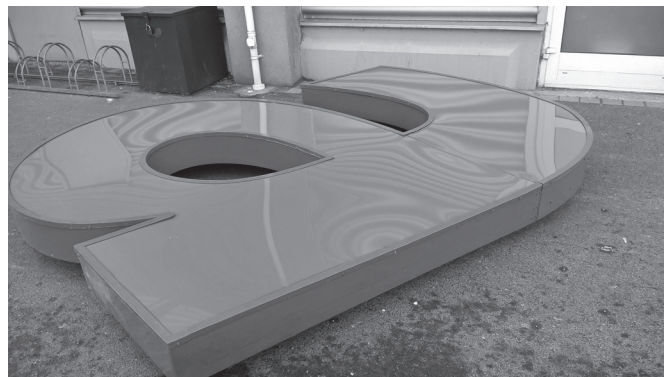
Czasami dochodzę do wniosku, że Einstein ze swoją teorią względności nawet nie umywa się do kobiecej teorii wszystkiego. I nie chodzi mi o to, że

kobieta bez serca zawsze potrafi zrobić idiotę z mężczyzny bez głowy. A poza tym zwróćcie, panowie, uwagę, że kobiety nazywa się płcią odmienną nie tylko dlatego, że ich płeć różni się w sposób tak bardzo rozkoszny od naszej, ale też dlatego, że kiedy my czegoś chcemy, one zawsze chcą czegoś odmiennego. Oczywiście każda kochająca żona zrobi dla swojego męża wszystko – za wyjątkiem tego, by przestać go krytykować i wychowywać.

W zasadzie więc nie jest ważne, w którym miejscu alfabetu występuje litera „A”. Jeżeli kobieta upiera się, że dla niej, na tę chwilę, tuż za literą „K” albo „M”, nie warto się sprzeczać. Nie ma sposobu, by wygładzić jeża i lepiej chytrze przyznać jej rację.

I choćbyśmy, panowie, bili się z myślami, że aż echo by niosło, nic sensownego nie wymyślimy. To, na czym nam zależy, żeby one zauważyły (np. że litera „A” zawsze otwiera alfabet), to one tego nie dostrzegają, ale z niezwykłą przenikliwością zauważą to, na czym nam zależy, żeby tego nie widziały (np. że myślami jesteśmy gdzieś tam na rybach albo w garażu). Zgadza się, że większość żon potrafi przebaczać i zapominać to nasze bujanie przy nich w obłokach, ale nigdy na tyle, żeby od czasu do czasu nie przypomnieć nam o tym, jak to one przebaczały i zapominały.

Podobno w Stanach Zjednoczonych kobiety kiedyś wpadły na pomysł, żeby ich mężowie płacili im dodatkowo za robienie porządków w domach. Pomysł był prawie doskonały, a widok min wysłuchujących tego żądania mężów – bezcenny. Prawie każdy zastygł z grymasem na ustach, jakby chciał powiedzieć małe „o”. Oczywiście wszyscy się zgodzili – nie mieli innego wyjścia – ale zażyczyli sobie, żeby żony przychodziły do domu tylko dwa razy w tygodniu robić te porządki. I wtedy usta ich żon przybrały niepokojąco znajomy wyraz – coś jakby chciały głośno krzyknąć duże „A”.



„Aneon”, fot. Krzysztof D. Szatrawski

02 WIEK MĘSKI

WALDEMAR TYCHEK: Czytanie alfabetu „wtę” lub „wewtę”

04 WYWIADSONORITE ROYAL: z ARTUREM MILIANEM
rozmawia KRZYSZTOF D. SZATRAWSKI**08 POEZJA**ANDRIEJ KOROWIN
MAREK CZUKU**12 TEATR**

MAREK BARAŃSKI: Węgajty pępkiem świata

14 RECENZJA

JUSTYNA ARTYM: A jak Anna

15 GALERIA

MARTA WASILEWSKA-FRĄGNOWSKA

18 HISTORIA PEWNEGO DOMU

ANNA KORWEK: Takie były początki na ul. Bałtyckiej

19 RECENZJA

ANITA ROMULEWICZ: Rodzinne odkrywanie Warmii i Mazur

20 FILMMARTA CHYŁA-JANICKA:
Problematyka tożsamości w autorskim filmie animowanym**21 PROZA**

KAJA WILEGOWSKA: Babeczki

22 TEATR

JUSTYNA ARTYM: Café Müller – dwie samotności

26 WARMIA I MAZURYAGATA KULBICKA: Strzeżcie się czarnej kury
MONIKA KOWALEWSKA: Kto muzi po warnijsku?**26 PROZA**

ELŻBIETA ZAKRZEWSKA: Tajemniczy lokator na strychu

Na początku było... A. Nie bez powodu. 'A' to bardzo istotna litera – otwiera prawie każdy alfabet, czyli zbiór liter, z których powstają ważne słowa, zawite zdania i ciekawe teksty. Rozpoczyna także naszą nową edycję czasopisma „VariArt”. Nowy początek to także nowa idea zawarta w haśle: „Polak–Warmiak–Obywatel”, które będzie nam przyświecało przy kolejnych czterech numerach pisma na ten rok. Oczywiście nie zapominamy też o Mazurach. Już w tym numerze odnajdą Państwo artykuły związane z osobami ściśle związanymi z naszym regionem, jak: wywiad z Arturem Milianem przeprowadzony przez Krzysztofa D. Szatrawskiego, tekst Marka Barańskiego o Wacławie Sobaszku z Teatru Węgajty, czy wspomnienia Anny Korwek, mieszkanki jednej z olsztyńskich kamienic. Pojawia się także lokalne stwory, ujawnione przez Agatę Kulbicką, recenzje książek związanych z regionem – dla dzieci Anity Romulewicz oraz dla dorosłych Justyny Artym – a także kilka słów o gwarze warmińskiej, przywołanej przez Monikę Kowalewską. Pamiętaliśmy też o literaturze (nie tylko tej z naszej „małej” ojczyzny). Prezentujemy więc wiersze Andrieja Korowina i Marka Czuku oraz prozę Kaji Wilengowskiej (krótka forma) i Elżbiety Zakrzewskiej. O filmie z perspektywy twórcy-reżysera opowiedziała nam Marta Chyła-Janicka. Zaczynamy jednak od litery 'A', zapraszając do lektury alfabetu „wtę” i „wewtę” z Waldemarem Tychkiem.

A początek niech nam dobrym będzie.

Redakcja



VariArt. Pismo kulturalno-literackie. ISSN 2080-1483

Nr 01/2016 (30)

Wydawca:

Wojewódzka Biblioteka Publiczna w Olsztynie

10-117 Olsztyn, ul. 1 Maja 5; tel. 89 524 90 32; e-mail: wbp@wbp.olsztyn.pl

Współwydawca:

Warmińsko-Mazurskie Stowarzyszenie ARESZT SZTUKI

www.aresztsztuki.republika.pl; e-mail: aresztsztuki@gmail.com

Zespół redakcyjny:

Justyna Artym, Iwona Bolińska-Walendzik, Monika Kowalewska, Krzysztof D. Szatrawski
e-mail: variart@wbp.olsztyn.pl

Grafika: Przemek Kozak

Druk: „Gutgraf” Zakład Poligraficzny Marian Świniarski Olsztyn

Zrealizowano przy współudziale finansowym

Samorządu Województwa Warmińsko-Mazurskiego



Z ARTUREM MILIANEM ROZMAWIA KRZYSZTOF D. SZATRAWSKI

Sonorite royal

Artur Milian, skrzypek solista i wieloletni koncertmistrz olsztyńskiej orkiestry filharmonicznej, profesor prowadzący klasę skrzypiec w Instytucie Muzyki Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego, jest osobą ściśle związaną z olsztyńską kulturą. Na biografie artysty składają się liczne sukcesy i podróże artystyczne, dłuższe pobyty za granicą i powroty do Olsztyna.

Kształcenie artysty muzyka to długotrwały proces, zwłaszcza u skrzypków i pianistów, to właściwie całe życie z muzyką, przez muzykę i dla muzyki – zaczyna się wyjątkowo wcześnie. Nauka zaczęła się, zanim jeszcze poszedł Pan do szkoły?

Rozpocząłem naukę, kiedy miałem dokładnie pięć lat. I już po pół roku nauki wystąpiłem w Państwowym Ośrodku Maszynowym w Człuchowie, to było kiedyś województwo koszalińskie. Zagrałem wówczas „Kiedy ranne wstają zorze” i „Sza dziewczeczka do laseczka”. I to był debiut. Natomiast do szkoły muzycznej poszedłem już w Gliwicach, kiedy tatę przenieśli z powrotem na Śląsk. W 1957 r. rozpocząłem naukę w Państwowej Szkole Muzycznej i w Szkole Podstawowej. Później było Liceum Muzyczne w Bielsku-Białej, gdzie szkoła muzyczna i ogólnokształcąca były połączone, a po dwóch latach przenieśliśmy się do Katowic i tam ukończyłem Liceum Muzyczne im. Karola Szymanowskiego.

I kontynuacją były studia w katowickiej PWSM...

Już w trakcie piątego roku nauki w liceum przejął mnie prof. Stanisław Lewandowski, który był profesorem Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej w Katowicach. Zatem już liceum kończyłem u prof. Lewandowskiego i dzięki temu miałem bardzo płynne przejście na studia. Po prostu w następnym roku poszedłem piętro wyżej, pozostając u tego samego profesora.

Co niewątpliwie korzystnie wpłynęło na proces studiowania i pozwalało skupić się na rozwoju artystycznym.

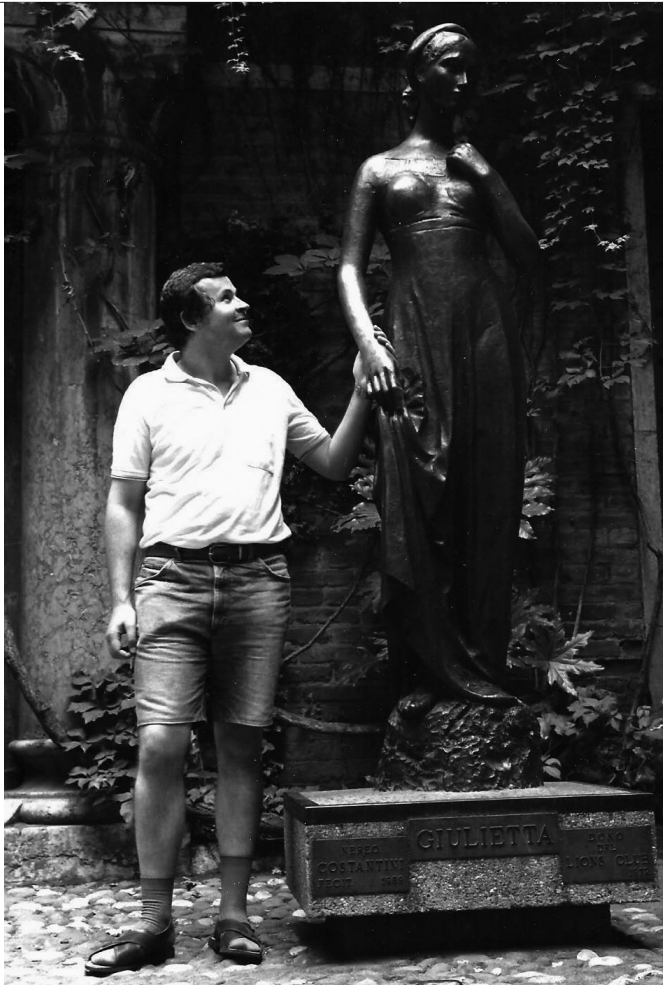
Było to świetne. Jeszcze w liceum wygrywałem konkursy, na przykład muzyki rosyjskiej i radzieckiej czy muzyki polskiej, dużo koncertowałem, występując na przykład w audycjach szkolnych: filharmonii śląskiej, filharmonii opolskiej i filharmonii koszalińskiej. W 1971 r., już w czasie studiów w katowickiej PWSM, zostałem laureatem trzeciej nagrody i brązowego medalu w konkursie im. Ludwiga van Beethovena w Hradec w Czechosłowacji. Na tym samym konkursie I miejsce i złoty medal zdobył Krystian Zimmerman.

Sukcesy często mają wpływ na przebieg studiów. Udało się Panu dojść do dyplomu w regulaminowy sposób?

Niezupełnie regulaminowy. Po czwartym roku zakwalifikowałem się na letni kurs mistrzowski w Weimarze. A wcześniej, jeszcze na czwartym roku studiów, Kazimierz Kord, ówczesny szef Wielkiej Orkiestry Symfonicznej Polskiego Radia i Telewizji w Katowicach, przyjął mnie do pracy i już grałem w drugich skrzypcach na etacie. Latem po pierwszym roku polecieliśmy z WOSPRiT na tournée po Bułgarii i Turcji, gdzie akurat dokonał się przewrót i władzę przejęło wojsko. Graliśmy wówczas pod dyktando Wodiczki „Święto wiosny” Strawińskiego i „V Koncert fortepianowy” Beethovena z Piotrem Palecznym. Pamiętam, że do samolotu wsiadaliśmy w asyście uzbrojonych żołnierzy. Rozchorowałem się po tej podróży i do Weimaru jechać nie chciałem, ale rektor powiedział, że jechać muszę i koniec. Pamiętam, że chorowałem całą drogę. Miałem być w klasie prof. Jankielewicza, który jednak nie mógł przyjechać i w jego zastępstwie klasę poprowadziła prof. Galina Barinowa. Po wstępnych przesłuchaniach zostałem zakwalifikowany do grona pięciu uczestników aktywnych, co spowodowało, że dwa tygodnie później nagrałem już dla Radio Weimar „Balladę” Ysaye’a, „Sonatę Wiosenną” Beethovena i 1. część „Koncertu skrzypcowego” Czajkowskiego.

Zatem w Weimarze dokonał się kolejny etap Pańskiego rozwoju artystycznego. Jakie były następstwa tych przygód?

Kiedy kurs dobiegał końca, prof. Barinowa zaprosiła mnie i mojego profesora na rozmowę i spytała, jakie mam dalsze plany. Odpowiedziałem zgodnie z prawdą, że zamierzam w dalszym ciągu grać w orkiestrze, na co ona powiedziała, że nie widzi dla mnie innej drogi jak tylko aspirantura w moskiewskim konserwatorium. Na to prof. Lewandowski przytomnie zaproponował, że może zechciałaby napisać parę słów, żebyśmy mieli jakiś punkt zaczepienia. I prof. Barinowa na firmowym papierze hotelu Elephant, w którym mieszkała, napisała przepiękną opinię o mnie, że świetna technika, doskonały dźwięk



Fot. z archiwum A. Miliana

i intonacja, tylko brakuje swobody interpretacyjnej. Po czym dopisała w konkluzji: „Nie widzę innej drogi rozwoju artystycznego Artura Miliana jak tylko aspirantura w Moskiewskim Konserwatorium”. Po powrocie do Polski pojechałem z tą opinią do Ministerstwa i dostałem trzymiesięczne stypendium. 1 kwietnia 1974 r. poleciałem do Moskwy na staż i prof. Barinowa przygotowała mnie do egzaminów aspiranckich, które zdałem.

I w ten sposób został Pan asystentem. Jak wyglądała nauka w Konserwatorium im. Piotra Czajkowskiego?

Oprócz tego, że miałem zajęcia ze skrzypiec u pani prof. Galiny Barinowej, słynnej skrzypaczki radzieckiej, miałem takie przedmioty, jak Metodyka i Historia Wykonawstwa Muzycznego czy Marksistowsko-Leninowska Estetyka. Często też występowałem z recitalami. Najważniejszy egzamin z estetyki polegał na tym, że prof. Wiktor Skaterszczikow, który był specjalistą od estetyki i napisał między innymi przepiękną książkę „O smaku estetycznym”, powiedział, że interesuje go postać Romana Ingardena, a zwłaszcza jego praca „Dzieło muzyczne a sprawa jego tożsamości”. Nie było ono przełożone na

język rosyjski, a to, co pisano o Ingardenie, nie było przekonujące. I to była cała moja praca, ręcznie napisana, w której przybliżyłem filozofię Ingardena. Podczas egzaminu jeden z członków komisji zapytał mnie o polskie dzieło współczesne o tematyce egzystencjalnej. Widząc moje zmieszanie, odpowiedział, że chodzi mu o „Tren ofiarom Hiroszimy” Krzysztofa Pendereckiego. Spojrzał na Skaterszczikowa i spytał, jak napisałem pracę. Znakomicie, odpowiedział Skaterszczikow.

Ale studia to nie tylko Konserwatorium, to także możliwość korzystania z bogatych możliwości kulturalnych wielkiego miasta.

Jako aspirant dostałem od Ministerstwa Kultury ZSRR taki bilecik, który pozwalał mi kupić bez kolejki wejściówkę do Teatru Bolszoi. W tym czasie po raz pierwszy przyjechała do Rosji mediolańska La Scala z Claudio Abbado. Siedziałem na tym koncercie na balkonie tak, że mogłem widzieć cały orkiestron i dyrygenta. I widziałem na własne oczy, jak Claudio Abbado prowadzi całą „Aidę” Verdiego, pokazuje wszystkie wejścia, śpiewa z solistami, a wszystko z pamięci – na pulpicie w ogóle nie miał nut. Widziałem oczywiście najstynniejszą spektakle Teatru Bolszoi, na przykład „Jezioro łabędzie”. Pamiętam pożegnalny koncert Mai Plisieckiej, podczas którego tańczyła balet „Anna Karenina” Rodiona Szczedrina. To było coś tak wspaniałego, że publiczność nagrodziła ją półgodzinną owacją na stojąco. Miałem też okazję usłyszeć i zobaczyć najstynniejszą orkiestry światowe, które w tym czasie odwiedzały Moskwę, lipski Gewandhaus czy Concertgebouw z Amsterdamu.

Miał Pan niepowtarzalną okazję, by zobaczyć i usłyszeć naprawdę mnóstwo znakomitości.

Tak! Nie mówiąc już o innych przyjemnościach, takich jak kilkukrotne wizyty w mauzoleum Lenina czy w Skarbcu Diamentowym na Kremlu. Wartościowych koncertów było tak wiele, że niektóre odbywały się w tym samym czasie w różnych salach. Zdarzało się, że nie chcąc stracić żadnego, słuchałem pierwszej połowy, po czym w przerwie taksówką przejeżdżałem do innej sali koncertowej, aby zdążyć na drugą część innego koncertu.

Stypendium doktoranckie pozwalało na takie życie?

Stypendium miałem bardzo wysokie – 240 rubli, podczas gdy docent konserwatorium zarabiał 175 rubli miesięcznie. Za pokój w akademiku płaciłem miesięcznie 4 ruble 60 kopiejek. Ministerstwo Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki przysyłało mi co trzy miesiące transzę, czyli co trzy miesiące pobierałem 720 rubli. I kiedyś wziąłem taką transzę, idę Nowym Arbatem, wchodzę do sklepu jubilerskiego i widzę przepiękną kółkę diamentową w białym złocie. Kosztowała 600 rubli. I wahałem się, kupić, nie kupić... aż w końcu zrobiłem największy błąd swego życia i nie kupiłem. A w tym czasie gruba obrączka ze

Fot. z archiwum A. Miliana



złota kosztowała 35 rubli. Kilogram kawy kosztował 4 ruble i butelka Stolicznej tyle samo.

Pieniądze w życiu studenckim są ważne, ale na pewno nie najważniejsze. Jak wyglądało życie towarzyskie aspirantów Konserwatorium?

W Moskiewskim Konserwatorium im. Czajkowskiego był akademik, w którym mieszkało 400 studentów i aspirantów. Było 200 pokoi, każdy pokój dwuosobowy i zawsze zasiedlano je w taki sposób, by Rosjanie mieszkali z obcokrajowcami, a warto pamiętać, że byli tam studenci z całego świata. I wszyscy próbowali nauczyć mnie podstaw swojej religii. Na przykład religijne zasady islamu przybliżył mi Egipcjanin – skrzypek Hassan Sharara, obecnie rektor Konserwatorium w Kairze. Po pół roku, kiedy zdążyliśmy się już dobrze poznać, Hassan powiada do mnie: Artur, jesteś katolikiem, pokaż mi swoje Pismo Święte. I tu zrobiło mi się wstyd, bo nie miałem ze sobą Pisma Świętego. W ogóle nie miałem wcześniej nic poza książeczką do nabożeństwa od pierwszej komunii. W tamtych czasach Pismo Święte w Polsce niełatwo było kupić.

Chyba niełatwo było mu pojąć sytuację w religijnej, choć socjalistycznej Polsce. Jak to przyjęła?

Kiedy mu o tym powiedziałem, zdziwił się. Dla wyznawców islamu najważniejszą rzeczą jest mieć zawsze ze sobą Koran, bez którego nie ruszają w podróż. Każdy ma swój egzemplarz Koranu! To mnie zainspirowało do zdobycia Biblii, a także do własnych studiów i z czasem religioznawstwo stało się moim hobby. Mam mnóstwo różnych przekładów Biblii, przekład Koranu, święte księgi różnych religii oraz poświęcone im opracowania. W Peorii, niedaleko Chicago, grałem w kościele metodystów Sonatę Beethovena i jeden z gospodarzy podszedł po koncercie i powiedział, że grałem, jakby Pan Bóg prowadził mój smyczek. Lepszej recenzji nie dostałem w życiu!

To rzeczywiście musiały być ogromna satysfakcja! Tym bardziej, że dobrych recenzji w Pańskiej karierze nie brakowało.

Miałem mnóstwo pięknych recenzji. W Paryżu o moich nagraniach pisali: „Artur Milian sonorite royal”, we Włoszech „uno dei piu brillanti componenti la «legione straniera» dell orchestra barese”, ale nikt nie napisał tak pięknych słów, jak te, które wypowiedział ów Amerykanin. Dla mnie jest to szczególnie ważne stwierdzenie. Podczas licznych podróży miałem możliwość zetknąć się z różnymi religiami. Jak powiedział pastor Uwe Steffen podczas poświęcenia organów w Ratzeburgu, powołując się na słowa Marcina Lutra: „na tym świecie najważniejszą wartością po Słowie Bożym jest Muzyka”.

Wróćmy jeszcze na chwilę do Moskwy w latach 1974-1976. Wielomilionowe miasto z ogromną liczbą wydarzeń kulturalnych musiało mieć wpływ na pańską karierę artystyczną. A jak wyglądał powrót do Polski?

Miałem legitymację Moskiewskiego Konserwatorium, niebieską, i na tę legitymację przy przekraczaniu granicy pogranicznicy spoglądali, i nawet nie sprawdzali paszportu, po prostu mówili „na zdrowie” i przechodzili dalej. To właśnie w Moskwie poznałem te wszystkie religie praktycznie. I dopiero sześć lat po powrocie do Polski, kiedy już mieszkałem w Olsztynie, na moście Jana kupiłem Pismo Święte Brytyjskiego Towarzystwa Biblijnego. A jeszcze później prowadziłem wykład monograficzny w Wyższej Szkole Pedagogicznej pt. „Muzyka w religiach świata”.

Ale po studiach w Moskwie wrócił Pan do Polski nie bez kłopotów...

Po obronie doktoratu wróciłem do Warszawy, poszedłem do Ministerstwa Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki przekonany, że dadzą mi pracę, a oni zapisali numer dyplomu w wielkiej księdze i pogratulowali, że terminowo wykorzystałem pieniądze. A dalej już musiałem sobie radzić sam. W mojej macierzystej uczelni okazało się, że pozytywna opinia prof. Barinowej została odczytana jako obraźliwa. Chodziło o słowa: „nie widzę innej drogi rozwoju”, co zinterpretowano jako opinię, że uczelnia katowicka nie mogłaby spełnić należycie swojej roli. W rezultacie prof. Lewandowski nie przyjął mnie na asystenta i musiałem szukać pracy. W Wielkiej Orkiestrze PR i TV także zmieniła się dyrekcja i również nie było perspektywy zatrudnienia. W tym trudnym momencie moja mama przeczytała ogłoszenie w Ruchu Muzycznym, że Filharmonia Olsztyńska poszukuje II koncertmistrza i gwarantuje mieszkanie. Zadzwoniłem i przedstawiłem się, a pani, która odebrała, powtórzyła moje nazwisko i w drugim planie ustyszałem, że ktoś wymienia moje imię i dodaje: „Renia, bierzemy go od razu na wyjazd do Bułgarii”. Okazało się, że przy rozmowie obecny był koncertmistrz Andrzej Hanzelewicz, który mnie znał i powiedział, że ręczy za mnie i zanim dojdzie do rozmowy z dyrektorem Poprawskim, on już mnie angażuje na najbliższe tournée zespołu. Później odbyła się rozmowa z dyrektorem Poprawskim, następnie przyjechałem do Olsztyna osobiście i w ten oto sposób

osiadłem w tym pięknym mieście na stałe. A pani Renata, która odebrała telefon i była pierwszą osobą, z którą w Olsztynie rozmawiałem, jest moją żoną już blisko czterdzieści lat.

Osobą, która prowadziła w latach siedemdziesiątych aktywną politykę rozwoju orkiestry, był ówczesny kierownik artystyczny Janusz Przybylski?

Tak, Janusz Przybylski przyjmował muzyków do orkiestry razem z dyrektorem Poprawskim. Ale w tym przypadku ważną rolę odegrał Andrzej Hanzelewicz, z którym koncertowałem jeszcze jako student w Pradze i w Brnie z Łódzką Orkiestrą Kameralną „Pro Musica” prowadzoną przez prof. Zbigniewa Friemana. W „Divertimencie” Bartoka Andrzej Hanzelewicz grał jako koncertmistrz. Nie mógł sobie poradzić z partiami solowymi, więc ja grałem partie solowe. Dlatego kiedy usłyszał moje nazwisko, poszedł do Janusza Przybylskiego i powiedział: „bierzmy Artura bez żadnych przesłuchań, to jest absolwent Konserwatorium Moskiewskiego, świetny skrzypek, ja z nim koncertowałem”. Po tym tournée wróciłem na Śląsk. Po pewnym czasie zadzwonił Janusz Przybylski z zaproszeniem na kolejne koncerty gościnne, tym razem w Rumunii. Renata mu powiedziała, że mam w repertuarze koncert skrzypcowy Szostakowicza, a on natychmiast zaakceptował ten pomysł. Przyjechałem do Olsztyna i zagrałem na próbie. Janusz Przybylski tak się wzruszył, że po passacagii przerwał próbę. I później wyraźnie mnie faworyzował, zadbał o koncerty, grałem z nim jako solista w wielu miastach Polski. Starał się też forować mnie w towarzystwie. Po koncertach spotykaliśmy się w Domu Środowisk Twórczych, gdzie zawsze zapraszał mnie do swego stolika, mówiąc, że jako koncertmistrz powinienem się pokazywać publicznie z dyrektorem. Od 1 października 1977 r. rozpocząłem też pracę jako starszy asystent WSP w Olsztynie.

Słynny „I Koncert skrzypcowy a-moll” Szostakowicza jest dziełem wyjątkowo trudnym pod względem interpretacyjnym. Dawid Ojstrach porównał go do dzieł szekspirowskich. To również jeden z najważniejszych utworów w Pańskim repertuarze. Dlaczego właśnie ten koncert?

Moja profesorka w 1975 r. zadała mi ten koncert do nauczenia się i wyjechała na tydzień do Kijowa. A w akademiku w każdym pokoju było pianino, plus sale ćwiczeniowe w piwnicy. Ten koncert tak mi się spodobał, że przez cały tydzień nic innego nie robiłem. O szóstej rano radio budziło mnie hymnem radzieckim i pracowałem do północy, wtedy kładłem się spać. Ten hymn był moją kołysanką i pobudką. Po tygodniu wróciła prof. Barinowa i zagrałem jej cały koncert ze znakomitym pianistą, Aleksandrem Mndojancem. W uznaniu tej pracy zorganizowała nam publiczny koncert w małej sali Konserwatorium, a po koncercie zaprosiła mnie do domu i dała mi osiemnastowieczne skrzypce

Zossimo Bergonziego. Grałem na tym pięknym instrumencie do momentu powrotu do Polski i przed wyjazdem zwróciłem. A kiedy miałem wykonać koncert Szostakowicza w Rumunii, zadzwoniłem do mojej pani profesor, która dosłownie zmusiła mnie, abym pojechał do Moskwy po instrument Bergonziego. I na tym instrumencie gram czterdzieści lat, a grałem mnóstwo koncertów, m.in. Dworzaka, Mendelssohna, Lipińskiego, Mozarta, Bacha, Vivaldiego. Koncert Beethovena grałem na tournée we Francji, a Koncert Czajkowskiego we Włoszech.

Koncerty solowe to ważna część pańskiej kariery zawodowej. Ale podstawą była funkcja koncertmistrza w olsztyńskiej filharmonii. Jak Pan godził te dwa rodzaje działalności?

Nigdy nie było między nimi sprzeczności. W Olsztynie byłem zatrudniony od 1 maja 1977 r. na stanowisku koncertmistrza. Początkowo jako drugi koncertmistrz, a po roku, kiedy Andrzej Hanzelewicz przeniósł się do Łodzi, jako pierwszy. W latach 1983-1984 byłem również koncertmistrzem w Bari we Włoszech, a w latach 1988-1990 koncertmistrzem Sinfonietta de Paris we Francji. Jako solista nagrałem w 1988 r. płytę z Filharmonią Białostocką z koncertem skrzypcowym Mario Cesy, co niektórzy muzycy z naszej orkiestry potraktowali jako zdradę, ale później nagrałem z olsztyńską orkiestrą koncerty Pierra Wissmera – dwie płyty, które otrzymały we Francji bardzo dobre recenzje. Po koncertach w Paryżu dostałem propozycję wyjazdu za ocean i w rezultacie miałem recital i prowadziłem kurs mistrzowski w Bradley University w USA. Był to również moment nawiązania współpracy międzyuczelnianej między Bradley a WSP w Olsztynie, za co otrzymałem medal honorowy amerykańskiej uczelni.

Dziękuję za rozmowę.



Fot. z archiwum A. Millana

ANDRIEJ KOROWIN

Wiersze przekład Krzysztof D. Szatrawski

PSINA Z LUDZKĄ TWARZĄ

psina z ludzką twarzą
 wychodzi z bramy
 liże mnie językiem
 mokrym szorstkim stęsknionym
 mówi
 zabierz mnie stąd
 mój drogi człowieku
 będę udomowiona
 twoja domowa
 będę dobra czuła
 zupełnie niestraszna
 co mam mówię z tobą zrobić
 różowa psino
 nauczyć cię przemawiania na scenie
 techniki tańca
 kupić obrożę przeciwko pchłom
 o czym będziemy rozmawiać
 w długie zimowe wieczory
 ja mówi jestem czytana
 to nic że jestem psiną
 w poprzednim życiu byłam blondynką
 wysoką piękną
 piłam ze spodka

pokochołam jednego psa
 czarownika
 a on zakpił ze mnie
 i zmienił w psinę
 wygnał z domu
 w mojej duszy nie ma spokoju
 i tylko wiersze mnie ratują
 kiedy z głodu marzną łapy
 Mandelstama pamiętam całego
 Gumilowa sporo
 Achmatowa siostrzyczka moja niebiańska
 zgoda mówię wystarczy Gumilow
 chodź ze mną, co robić
 różowa psino
 później zobaczymy co dalej

HISTORIA ŻUKA

na żuka
 wyrzuciło się niebo

leży niebo na żuku
 i żuk leży
 nie brzęczy
 łapkami przebiera
 to odpycha
 to podtrzymuje
 to łaskocze
 niebo

a niebo takie
 krągłe
 błękitne
 ciężężkie

podajcie mu dłoń
 żuk pomocy szuka

uratujcież
 pana żuka

ANDRIEJ KOROWIN – poeta rosyjski, wydawca, organizator i animator kultury. Autor siedmiu książek poetyckich. Wiersze publikował w antologiach i periodykach literackich Rosji, Ukrainy, Niemiec, Danii, Finlandii, USA i innych krajów, przekładany na angielski, ormiański, białoruski, gruziński, niemiecki, serbski i rumuński. Kieruje wieloma projektami, m.in. Międzynarodowym Festiwalem Literackim „Wołoszynski wrzesień” oraz literackim salonem w teatrze-muzeum „Dom Bułhakowa” w Moskwie.



KOCHANKOWIE MARYNY

Maryna Cwietajewa
zjadała swoich kochanków
wysysała z nich soki
obgryzała rączki i nóżki
szczególnie lubiła część mózgową
tyle przepięknych halucynacji
pojawiało się gdy ją pożarła
wiersze płynęły strumieniem
Maryna nie radziła sobie z tym potokiem
z początku zapisywała
później
 chowała pod poduszkę
 składała w szafie z ubraniami
 zakopywała w ogrodzie
ale wszystko jedno
znajdowali
i wymyślali jej
najpierw tata
i mama
później Asia
później Asia też zaczęła
czasami
zjadać kochanków
wtedy zaczęli im wymyślać
Maks i Sieroża
mówili
dziewczęta
jak wam nie wstyd
a jakże miałyby być wstyd
oni żyć bez tego nie mogli
słodcy kochankowie

soczyści i mądrzy
na wszystko gotowi
byli szczęśliwi
że ich zjadają
dwie sympatyczne siostrzyczki

nie wszystko się w życiu udało
niektórzy
ostali się nie zjedzeni
błąkają się teraz po świecie
dzieci straszą

ŚPIEWAJĄCE DRZEWO

drzewo rośnie do góry korzeniami
głupotą jest sądzić, że wzrost drzewa
zależy od gleby i wody
drzewo żywi się niebem
aniołowie siedzą w korzeniach drzew
odżywiając je siłą i słowem Bożym

drzewo to najdoskonalsze z Jego stworzeń
jest w nim życie i śmierć
sens i nieśmiertelność
jest w nim zapisana historia Stworzenia
wszechświata i ludzkości

mrówka przechodząca po pniu drzewa
staje się aniołem
ryby przepływające we wnętrzu drzewa
stają się cherubinami
albowiem otwierają się przed nimi tajemnice

dostępne tylko Bogu i Jego aniołom
każde stworzenie wspólne
Bożym tajemnicom
wypełnia się Jego sensem

wszechświat – to też drzewo
w pniu którego
obracają się wszystkie gwiazdozbiory
orbity planet to jego stoje
ludzie to jego włókna

włókna mnożą się i niszczą wzajemnie
włókna marzą by stać się mrówką albo rybą
dopuszczonymi do tajemnic Bożych
niektórym nawet się zdaje że im się to udało
i wówczas zaczynają śpiewać
w różnych końcach drzewa

każda komórka wypadająca z powszechnego
rytmu dzielenia

wyciąga swoją nutę
i wtedy zdaje się, że drzewo śpiewa
zwróconą do Boga pieśń
ktoś nazywa ją modlitwą
ktoś poezją
ktoś muzyką

a Bóg spogląda na swe stworzenie – drzewo
i się uśmiecha
nic bowiem nie przeczy Jego woli
nawet Śpiewające Drzewo

MAREK CZUKU

Wiersze

ZNIKOMIŁOŚĆ

w gwieźdny pyle niedopyle niedomiła
za tęczowym błyskiem czasu się ukryła
która ze mną nigdy więcej nie zgrzeszyła

jestem rzeką ty zaś morzem
góram jestem a ty niebem
ja uczynkiem ty potrzebą

w mokrym niebie niepoczęta i bezbożna
w ciepłym lesie zmechacona dotykaniem
która nie wie że tak trzeba że tak można

ja tristanem a ty julią
ja doganiam ty uciekasz
ja przyspieszam ty się spóźniasz

nasze czasy bezpowrotnie się mijają
wiek za wiekiem zamykają nam powieki
która nigdy się naprawdę nie zbliżyła

ja bez serca ty bez ducha
jak dziewczeczka co nie słucha
niedomiłość taka głucha

TEN PIEPRZONY ŁAZARZ

warszawa krakowskie przedmieście dom literatury
pocziwy łazarz jako macho pośród plejady
braci mniejszych gwiazdek i celebrytów
wśród nich najjaśniej świeci gwiazda narcyz
a gołębie nadal srają na pomnik mickiewicza
ku ucieście zakompleksionego słowackiego
powraca zniecacka magia wilna

na polu mokotowskim rozbieram twoje ciało
trepanuję ci czaszkę wymieniam komórkę zmieniam skórę
zaczynam wierzyć w zombie
że przywróci nam wreszcie człowieczeństwo
od jakiegoś czasu wypadają mi włosy
które bezceremonialnie złupił tupież
czy tobie też rosną w nocy paznokcie?

po ostatnich elektrowstrząsach zwiotczały mi mięśnie
a zwłaszcza ten piwny od którego tyle teraz zależy
po wiśle pływa sobie noga szyfranta zielonki
z radosnego dialogu pozostał monotony monolog
a ty się chyba znowu wypaliłaś
bo już cię naprawdę zapomniałem i zgasilem światło
a muszę? no!

MAREK CZUKU (1960), ur. w Łodzi, gdzie nadal mieszka, autor dwunastu tomików poetyckich, z wykształcenia fizyk i polonista (UŁ).
Debiut prasowy: 1985; książkowy: 1989. Formy: poezja, mała proza, recenzja, esej, felieton, publicystyka, piosenka.

NADESZŁA CHWILA DLA DEBILA

co oni wiedzą co oni mogą

zminiaturyzowane wielbłądy myśli
uwięzione na niebie obłoki zdarzeń
karawana idzie dalej
a nikt nawet nie zaszczeka
nie poczeka na wędrowców
do oazy spokoju i pogody ducha

piasek czasu pustyni bezczelnie
wypełnia klepsydrę urojeń
a potem sru i w szprychy
abyś na zawsze zapamiętał
że nikt na ciebie nie czeka
bo nikt na nikogo nie czeka
to tylko dzień ucieka jak rzeka
przez palce i katarakty Nilu

oni nic nie mogą
trwają tylko przez chwilę
a ty jesteś słodki debil
sam wiesz że to nieprawda

AUF WIEDERSEHEN!

przepraszam amerykę południową
za północną a australię za kangury
krzysztofa kolumba i oscara pistoriusa

dziękuję panu kierownikowi basenu
za zegarek na wodę a czasowi że płynie
i nie trzeba go nakręcać ani wyżywać

ja jeszcze jestem w lesie chociaż już
witałem się z gąską i kurką więc znowu
kurka mam na pieńku z drwalem

jeszcze raz przepraszam dziękuję
i życzę pięknych snów
skrzydlatych słów mądrych sów

*

amor strzela paradoksami
z powyłamywanymi
wskazówkami

niedoczasu
od czasu do czasu
małgorzato

niedomiła taka miła
niedoczuła taka czuła
nieskończona

MAREK BARAŃSKI

Węgajty pępkem świata

Podziwiam i bardzo wysoko cenię działalność teatralną Wacława Sobaszka, który rozpoczął ją jeszcze w końcu lat 70. w Olsztynie, a kontynuuje od 1982 r. w Węgajtach.

Dokonania Wacława Sobaszka jako reżysera i kierownika artystycznego Teatru Węgajty należą do największych osiągnięć teatralnych w Polsce i są chlubą Warmii i Mazur. Najważniejsze aspekty działalności Teatru Węgajty:

– Teatr Węgajty, przez praktykę teatralną, jest zarazem szkołą teatralną i laboratorium form teatralnych. Jego spektakle, warsztaty, spotkania i festiwale działają kulturotwórczo na najbliższe środowisko wiejskie Węgajt, a także całej gminy;

– Teatr Węgajty ma rozległe kontakty z podobnymi ośrodkami w Polsce i w Europie, festiwale i spotkania rozstawiają region w kraju, a nawet na świecie, czego przykładem jest tegoroczna wyprawa teatru do Tajwanu.

ZIEMIA – SIOSTRA I MATKA CZŁOWIEKA

W czerwcu 2015 r. papież Franciszek ogłosił encyklikę ekologiczną „Laudato si”, w której, powołując się na Franciszka z Asyżu, mówił o Ziemi jako o siostrze i matce człowieka. Gdzie latem 2015 r. można było w Polsce usłyszeć o encyklice „Laudato si”? Gdzie w podobnym tonie wyrażano się z troską o Ziemi? W Węgajtach podczas festiwalu „(Nie)widzialne granice”.

CZECZENI ZAPRASZAJĄ DO DOMU

Nie trzeba więc jechać daleko od Olsztyna, by znaleźć się w pępku świata. W Węgajtach podczas tygodniowych festiwali pod nazwą Wioska Teatralna można posłuchać dziennikarzy i aktywistów wyjątkowo dobrze poinformowanych w kwestiach społecznych i ekologicznych, a przede wszystkim zobaczyć artystów z kraju i świata, którzy wypowiadają się w języku teatru na temat najistotniejszych problemów współczesności.

Hasłem tegorocznego festiwalu Wioska Teatralna, który odbył się w dniach 18-23 lipca, był Zwrotnik Warmia. Węgajty ze swoją wielokulturową historią staną się łącznikiem między Wschodem a Zachodem.

W 2015 r. podczas festiwalu „(Nie)widzialne granice” uwagę skupiono na imigrantach. Podczas publicznej dysputy młoda Czechenka opowiadała o przeżyciach swojej rodziny w Polsce. Osiedli w biednej dzielnicy Warszawy. Zaczęło się od tego, że dzieci polskich sąsiadów wybiły im szyby w oknach. Nie zważając

na to, jej mama zaprosiła sąsiadów do domu, mimo protestów rodziny. Sąsiedzi przyszli, zjedli, porozmawiali, zobaczyli po raz pierwszy w życiu owoc granatu i dowiedzieli się, gdzie leży Czeczenia. Po jakimś czasie zaczęli mówić im „dzień dobry”. Stali się miłsi. — Mama sprawiła, że nie baliśmy się wchodzić na nasze podwórko — powiedziała Czechenka i dostała największe oklaski.

Prowadzący dysputę Edwin Bendyk przypominał, że sto lat temu paszporty były czymś wyjątkowym w Europie, a mieszkańcy naszego kontynentu masowo emigrowali do Ameryki. Ellis Island w Nowym Jorku od 1892 r. do 1954 r. przyjęło 12 mln Europejczyków. Był taki dzień w 1911 r., gdy na wyspę przybyło ich 14 tysięcy.

ZATORZE: MIASTO W DRODZE

Kiedy w listopadzie 2014 r. Wacław Sobaszek zaproponował mi, bym podobnie jak rok wcześniej, podczas akcji „Miasto w drodze”, poprowadził młodych artystów jakąś ciekawą trasą, zaprosiłem ich na Zatorze. Zebraliśmy się przed dawnym kinem „Grunwald”, w którym przed laty oglądałem filmy z Brigitte Bardot. Stamtąd ruszyliśmy ulicą Kasprowicza pod dom nr 7, w którym mieściła się przed II wojną światową restauracja „Bellevue”. W jej wielkiej sali (obecnie sala gimnastyczna) u schyłku XIX wieku odbywały się przedstawienia teatralne, w tym po polsku, oraz pierwsze projekcje filmowe. Wróciliśmy ulicą Zamkniętą, nad jar, przez który przepływa Łyna. Zeszliśmy do niej



„Jedność przestrzeni i jedność odczuwania” – performance Amy Droińskiej, Wioska Teatralna 2015, fot. Xiong Jie

Premierowy pokaz „Mniej!” Innej Szkoły Teatralnej (inscenizacja: Wacław Sobaszek).
Wioska Teatralna 2015, fot. Xiong Jie

kamiennymi schodami. Popatrzyliśmy z mostku na „Bellevue”. Stamtąd wspięliśmy się stromym zboczem na ulicę Gietkowską i przeszliśmy się pod Koszary Dragonów.

MARGARETE Z DAWNEJ NRD

Przykładem niezwykłych przeżyć, jakich dostarczają festiwale organizowane przez Węgajty, było spotkanie z Janem Turkowskim ze Szczecina, który jest strażnikiem i dysponentem niezwykłego materiału biograficznego. Pewnego dnia wybrał się do przygranicznej niemieckiej miejscowości na targ staroci. Zainteresował go mężczyzna, który miał na sprzedaż 31 rolek z filmami formatu 8 mm. W latach 60. i 70. kamery ósemki były popularne wśród filmowców amatorów, tak jak później sprzęt video, a dzisiaj smartfony. Turkowski kupił od mężczyzny czarno-białe i kolorowe filmy, jak się później okazało, z życia mieszkańców dawnego NRD.

W lipcu 2015 r. w Szkole Podstawowej w Jonkowie Jan Turkowski opowiedział, jak przez prawie dwa lata starał się ustalić, kogo przedstawia archiwalny materiał. Proces dochodzenia do prawdy filmował, dokładając do tamtej cudzej historii swoją. Całość połączył w spektakl, którego był narratorem. Jego opowieści towarzyszyła projekcja z rzutnika i zabytkowego projektora. Chwila, gdy spotyka się w Niemczech ze stuletnią kobietą, która okazuje się jedną z bohaterek taśm z przeszłości, należał do najbardziej poruszających.

Jan Turkowski związany jest ze szczecińskim alternatywnym teatrem Kana. Trafił ze swoim spektaklem „Margarete” (tak ma na imię bohaterka znalezionych filmów) na festiwal Wioska Teatralna 2015.



JUSTYNA ARTYM

A jak Anna

10 maja miałam okazję prowadzić w Reszlu spotkanie autorskie z Anną Dziewit-Meller wokół niedawno wydanej „Góry Tajget”.

Przy tej okazji odkryłam wspaniałości, którymi wypada się z Państwem podzielić – wszak „VariArt” to pismo i kulturalne, i o regionie traktujące, a w tym numerze nawet literze „A” poświęcone, pod co się także ochoczo podpinam.

Po pierwsze – „Góra Tajget”. Impulsem do powstania powieści był artykuł o szpitalu w Lublińcu, w którym podczas hitlerowskiej akcji T4 zabito dwieście chorych psychicznie dzieci. Jednak tytułowy wątek eugeniczny – według legendy z gór Tajgetu zrzucano kalekie dzieci w starożytnej Sparcie, aby nie stanowiły obciążenia dla zdrowego społeczeństwa – rozrasta się w opowieść o wielu aspektach wojny. Co zaskakujące, mimo ogromu źródeł historycznych i poruszanych problemów, powieść jest skondensowana i spójna. W dziejach jednej śląskiej rodziny zamknięte są najważniejsze doświadczenia wojenne całego pokolenia.

Nie jest to jednak książka typowo historyczna. Przeciwnie, niepokojąco aktualna. Umiejętnie poprowadzona narracja kierująca nas od współczesności w przeszłość i z powrotem, przeplatająca losy i wątki wskazuje – niczym Gospodarz w „Weselu” Wyspiańskiego: „To, co było, może przyjść”. Żyjemy w niespokojnych czasach eskalacji nastrojów nacjonalistycznych, zbiorowych aktów nienawiści w stosunku do całych narodów czy odmiennych grup wyznaniowych i światopoglądowych, w czasach otwartego wyszydzania tych, którzy nie dotrzymują kroku społeczeństwu. Żeby nie szukać daleko: jadąc PKS-em na spotkanie do Reszla, mijałam ośrodek wypoczynkowy w Bęsi. W pobliżu akurat przechodziła grupa dzieci i młodzieży niepełnosprawnej intelektualnie i z zaburzeniami psychicznymi. Bawili się świetnie, mieli jednakowe kolorowe czapeczki, idący na czele chłopiec z zespołem Downa z wawo wymachiwał kijkiem. Kobieta siedząca przede mną nie odmówiła sobie przyjemności skomentowania: „Darmozjady. Ciekawe, kto im za to płaci”. Stąd już tylko krok do pomysłu, na który wpadli naziści: skoro niepełnosprawni stanowią obciążenie ekonomiczne, a ich życie psuje obraz wyższej rasy, dlaczego by ich nie wymordować, nie oczyścić zdrowej tkanki społeczeństwa – w dodatku w imię litości,

żeby się dłużej nie męczyli, bo przecież życie osób chorych nie jest warte życia... Brzmi znajomo?

„Góra Tajget” stawia pytania: czy medycynie wolno rozporządzać życiem i śmiercią? Czy jakimkolwiek człowiekowi wolno decydować za drugiego, czy lepiej będzie dla niego żyć czy umrzeć? I nie jest to kwestia tylko eugeniki, ale i drugiej skrajności – często niepotrzebnej tzw. terapii uporczywej, kiedy na siłę podtrzymuje się przy życiu bardzo starych i schorowanych ludzi. Taki wątek również pojawia się w książce: widzimy umierającą na sali szpitalnej staruszkę, której agonia jest przedłużana poprzez „fikcję zwaną dobrą śmiercią”.

Książka pełna jest tego rodzaju zestawień okrutnych paradoksów. Z jednej strony dzieci mordowane dla dobra nauki (ich ciała służyły jako eksponaty i materiał do badań), z drugiej strony – starcy, którym dobroć medycyny i jej osiągnięcia nie pozwalają spokojnie odejść. Machina wojenna, która zasyła i dławi, mieli i przeryca z miejsca na miejsce przypadkowych ludzi: młodziutki Alfons, Ślązak, zostaje siłą wcielony do Wehrmachtu jako volksdeutsch z czwartej listy, jest zmuszony do bicia się za nieswoją sprawę, a następnie prosto z wojny zabrany do obozu i katowany jako Niemiec odpowiedzialny za Holocaust... W tej opowieści nie ma tych dobrych i tych złych. Kat staje się ofiarą, a uciskani, którym przywykliśmy współczuć, biorą krwawy odwet z taką samą zjadłością jak oprawcy. Machina pracuje, przestajemy widzieć granice, gubimy się, już nie wiemy, kto ma rację. A może nikt jej nie ma. „Wojna jest zła” – tylko tego jesteśmy pewni.

„I jakie to ma znaczenie, kto tnie ów brzuch. – Patrzy na Sebastiana kobietą, z której brzucha zwisa pępownina. – Jakie to ma dla mnie teraz znaczenie?” Anna Dziewit-Meller, która nigdy nie kryła swoich poglądów feministycznych, w „Górze Tajget” oddaje głos kobietom. Ich zapomnianemu, wciąż nie dość opowiedzianemu doświadczeniu wojny. Gehennie gwałtów. I pragnieniu ochrony życia swoich dzieci.

Wątek dzieci spaja zresztą całą powieść. Strach o nie, ich niewinne cierpienie, ale i dzieciństwo jako czas, w którym kształtowane są zręby osobowości człowieka. Autorka pisze o trudnym pruskim wychowaniu, jakiemu

W SAMYM ŚRODKU – GALERIA VARIARTA: Marta Wasilewska-Fragnowska

została poddana doktor Gertruda Luben, która potem była odpowiedzialna za śmierć małych pacjentów szpitala w Lublińcu: tresura, ślepe posłuszeństwo autorytetom – dorosłym, przemoc psychiczna i fizyczna. W efekcie działań czarnej pedagogiki wyrastały dzieci ćwiczzone, dzieci-żołnierze. Dzieci nawykłe do okrucieństwa, którym je karmiono. Dzieci z ukrytą chęcią zemsty. Kiedy dorosły, stały się idealną armią Führera – zresztą też bitego przez ojca, za to ubóstwianego przez matkę. Mieszanka, której produkt końcowy dobrze znamy.

„Góra Tajget” zostaje w pamięci, zmusza do myślenia... Tyle wystarczy z mojej strony, reszta – do doczytania i odkrycia.

A co ja jeszcze odkryłam dzięki reszelskiej wyprawie? Bukbuka – stronę Anny Dziewit-Meller poświęconą książkom i pisarzom. Do poczytania recenzje, do oglądania spotkania autorskie – prowadzone w sposób swobodny i niewymuszony. Strona jest szczerą i subiektywną. Anna Dziewit-Meller dzieli się tym, co sama uwielbia czytać. Polecam!

I na zakończenie – nie mogę nie wspomnieć o Miejskiej Bibliotece Publicznej w Reszlu, która zorganizowała spotkanie. Wy, którzy myślicie, że w małych miasteczkach nic się nie dzieje – jesteście w błędzie! Barbara Bielska, bibliotekarz energetyczny, tworzy wraz ze swoim zespołem prawdziwe centrum kultury, edukacji i aktywności obywatelskiej. Ponadto państwo Mellerowie, którzy szczęśliwie osiedlili się na ziemi warmińskiej, zasypują reszelską bibliotekę wspaniałościami z wydawnictw... Więc, gdybyście kiedyś w Olsztynie nie mogli dostać jakiejś nowości... jedźcie do Reszla, na pewno już tam jest.

Marta Wasilewska-Fragnowska – urodziła się 28 sierpnia 1983 r. w Olsztynie. Absolwentka PLSP w Olsztynie oraz Edukacji Artystycznej w zakresie Sztuk Plastycznych na Uniwersytecie Warmińsko-Mazurskim. Dyplom – z wyróżnieniem z malarstwa – pt. „Przystań” powstał w pracowni malarstwa prof. Z. Drońskiego (2008 r.). W 2009 r. stypendystka prezydenta miasta Olsztyn.

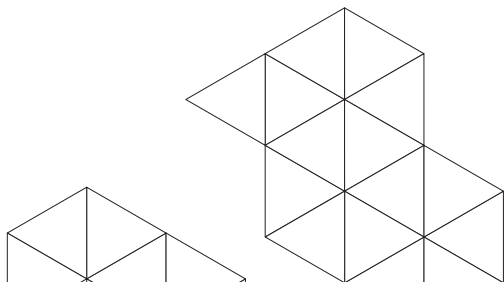
Autorka wielu wystaw indywidualnych, między innymi w: Centrum Kultury i Współpracy Międzynarodowej „Światowid” (Elbląg, 2007 r.), galerii „Obora” (Głotowo, 2008 r.), Centrum Kultury (Dobre Miasto, 2008 r.), Centrum Polsko-Francuskim (Olsztyn, 2010 r.), MOK-u (Ząbki, 2012 r.), Galerii Jednego Obrazu, Muzeum Warmii i Mazur (Olsztyn, 2012 r.), galerii „Sztuka na piętrze” (Olsztyn, 2012 r.), „haloGALERII”, MOK (Olsztyn, 2014 r.), galerii „Schody” (Warszawa, 2014 r.), BWA (Olsztyn, 2015 r., wystawa „Podróż”).

Autorka wystaw zbiorowych, między innymi: „Jazzteaval” (Dobre Miasto, 2009 r., 2012 r.), „Mistrz i uczeń” (Reszel, 2012 r.), „Historie z naturą w tle” (Atelier Auli Teatralnej Wydziału Humanistycznego, Olsztyn, 2013 r.), Galeria „Artforum”, (Offenburg, Niemcy, 2013 r.).

W 2013 r. zamknęła przewod doktorski (promotor prof. Z. Droński) na Uniwersytecie Jana Kochanowskiego w Kielcach, uzyskując tym samym tytuł dr. sztuki.

Moje malarstwo powstaje w wyniku głębokiej refleksji na temat poszukiwania własnego miejsca w świecie, zarówno tym zewnętrznym, jak i mniej namacalnym, ale równie realnym świecie wewnętrznym. Rola emocji towarzysząca powstającym obrazom jest kluczowa w rozumieniu mojej artystycznej ekspresji, jak również sensu poszukiwania przeze mnie, wręcz już obsesyjnie, „korzeni”. Powrót „do źródła”, do miejsc fascynacji i swojego sacrum jest dla mnie zmaganiem się z duchowym rozdarcie między sensem jakiegokolwiek przynależności a byciem „w drodze”.

Jestem głęboko poruszona obserwacją mojego pokolenia, które wydaje mi się być rozdarte zjawiskiem powszechnej emigracji, już nie tylko czysto zewnętrznej, ale również, a może nawet przede wszystkim, emigracji wewnętrznej. Emocjonalny nomadizm, ucieczka, swoiste duchowe wygnanie przybliżyły mnie do pytania o jakikolwiek sens przynależności do miejsca, regionu, kraju. Pokolenie „trzydziestolatków” pozostające bez przynależności, paradoksalnie z otwartą na świat mentalnością i przestrzenią, stało się moją największą inspiracją do stworzenia motywu przewodniego, w tym wypadku motywu „todzi”, który od 2008 r. jest moim sposobem na poszukiwanie malarskiej metafory.



MARTA WASILEWSKA-FRĄGNOWSKA



Marta Wasilewska-Frągnowska, bez tytułu, 120 x 150 cm, technika mieszana, 2015



ANNA KORWEK

Takie były początki na ul. Bałtyckiej

Mieszkam przy ul. Bałtyckiej od 1949 r., pochodzę ze wsi Popiołki Kurpiowskie. Do tej poniemieckiej kamienicy sprowadziłam się za mężem, który pracował tu u krawca od 1947 r. Zakład krawiecki mieścił się w mieszkaniu na pierwszym piętrze. Na budynku był duży sztyl, o czym jeszcze dziś świadczą ciemniejsza plama i dziury w tynku. Mąż był czeladnikiem, pomocnikiem krawca Pawła Sawicza. Krawiec był uniwersalny, szył wszystko, nawet sutanny dla księży. Ja również pomagałam w zakładzie, szyłam ręcznie, np. podszywałam nogawki. Męża znało pół dzielnicy, chociaż później przeszedł do lasów państwowych na magazyniera, ale ciągle szył, a ja mu pomagałam. Po około roku praktykowania żona krawca powiedziała do mojego męża – Panie Korwek, tu jest wolny strych, weźcie się za pracę i zróbcie sobie mieszkanie.

Na al. Przyjaciół był administrator osiedla, chyba pod dwudziestką. Z nim uzgodniliśmy możliwość adaptacji tego poddasza. Wszystkie formalności, zezwolenia pomagał nam załatwiać brat męża. No i tak to się stało, przyjechał mój brat, męża brat i domowym, gospodarczym sposobem sklecieli mieszkanie. Za naszym domem stała ceglana stodoła, nie należała już do nikogo. Braliśmy stamtąd cegły i wybudowaliśmy ściany. Powstały trzy pokoje i kuchnia. Postawiliśmy też piec kaflowy z pomocą zduna. Piec ogrzewał całe mieszkanie, częściowo wystawał w każdym pokoju. Zanim się sprowadziłam do tego mieszkania, przejściowo mieszkaliśmy w Gutkowie, tam urodziła się nasza średnia córka Danuta. Najstarsza – Krystyna przyszła na świat jeszcze na wsi, a syn Tadeusz już tu.

Na początku lat pięćdziesiątych było tu w ogóle mnóstwo ludzi. U mnie było troje dzieci. Z drugiej strony u sąsiadów była piątka. U pana Sawicza - dwójka, na przeciwko - trójka i na parterze też po dwoje.

Za naszymi domami były pola, wykopy – aż do torów. Dzieci bawiły się tam, wspaniały na górki, zjeżdżały z nich zimą. Było całkiem inaczej niż teraz. Sąsiedzi byli bardzo zgodni – odwiedzali się, rozmawiali, siedzieli na ławeczkach, kto miał czas oczywiście. Moja starsza córka chodziła na kursy grania na harmonii, więc przygrywała nam na rodzinnych uroczystościach i było wesoło.

Z opowieści sąsiadów mieszkających w kamienicy dłużej niż ja, m.in. pana Barbarowicza, wiem, że w czasie wojny mieszkali tu oficerowie niemieccy. W piwnicy była pralnia, a cały dom miał wspólne centralne ogrzewanie z kotłownią, ale pierwsi mieszkańcy wszystkie rury wyrwali, przynosili



Fot. Iwona Bolińska-Malendzik

z rumowisk kafele i stawiali piece. Jak przyjechali tu zza Buga, to nie wiedzieli, do czego to centralne ogrzewanie służy, nie mieli czegoś takiego w domach, nie znali też takich urządzeń jak sedesy, dlatego początkowo myli w nich naczyń. A na strychu, gdzie my mieszkamy, podobno tuż po wojnie jeden z sąsiadów trzymał konia. Nie mam pojęcia, jak on tu wchodził i schodził.

Jak się sprowadziliśmy, to od czasu do czasu Bałtycką przejechał samochód, no i tramwaj regularnie. „Jedynka” miała końcowy przystanek tam, gdzie dzisiaj jest stacja benzynowa. Później w latach 60. zlikwidowali tramwaj i puścili autobus. Początkowo mieszkaliśmy na końcu miasta, bo Likusy liczyły się jako wieś. Po prostu był tu koniec Olsztyna. Latem tu ludzie, jak to się mówi, walili nad jezioro. My też chodziliśmy nad wodę. Ja się boję pływać, wychowałam się na Kurpiach, za Myszynem. Dużo osób pochodzi z tamtych stron. Wracając do jeziora, to muszę powiedzieć, że wszyscy raczej latem korzystali z kąpieliska nad Jeziorem Krzywym, tu nad Długim to zimą wszystkie dzieci jeździły na tyżwach. Same sobie radziły – odśnieżały, robiły lodowisko.

Od lat 60. zaczęła się Bałtycka rozbudowywać, powstało osiedle domków, „kolorowe” ulice, przed dożynkami centralnymi postawiono te trzy czteropiętrowe domy, wybudowano wieżowce na Jeziornej.

Wprowadziłam się do tego domu jako ostatnia z pierwszych powojennych lokatorów, nie miałam swojego ogródka. Po kilku latach mieszkające na dole starsze małżeństwo nie miało już siły na pracę na działce. Zaproponowali mi żebym przejęła po nich ten kawałek ziemi. Wzięłam go. Doprowadziłam do porządku, młoda byłam. Uprawiałam tam marchewki, pietruszki, ogórki. Wszystko siałam. Wszyscy tak uprawiali te działki i hodowali kurki, ja i świnia chowała w stodole za domami. Ale tylko jeden rok, ciężko było nosić jedzenie przez całe podwórko.

To jest najważniejsze, że przy domu są ogródki, jest gdzie posiedzieć. Jest cień od drzew, są rozmowy międzysąsiedzkie. Ważne jest wyjście, posiedzenie z sąsiadami razem. Wcześniej żyliśmy tu jak jedna rodzina, wiedzieliśmy, kiedy trzeba pomóc. Ja rozmawiam wciąż ze wszystkimi, chociaż wszyscy sąsiedzi się już powymieniali. Dziś pierwszy raz po zimie zeszłam do ogródka, do sąsiadki.

ANITA ROMULEWICZ

Rodzinne odkrywanie Warmii i Mazur

Przeczytałam niedawno niezwykle interesującą recenzję jednej z rodzimych książek dla dzieci. Jej autorka zwróciła moją uwagę na nowe zjawisko w literaturze dla najmłodszych, które nieco wcześniej czeski pisarz Michał Viewegh nazwał „rodzicologią”. W dwóch słowach chodzi o to, aby rodzice – którzy spełniają swój wychowawczy obowiązek, czytając swoim dzieciom książki – czerpali z lektury także przyjemność dla siebie. Doskonała myśl, jednak wcale nie taka łatwa do wprowadzenia w życie. Ile bowiem na rynku znajdziemy książek z atrakcyjnym przekazem jednocześnie dla dziecka i rodzica?

Nie oszukujmy się. Nawet przykładowy rodzic z doskonałą postawą edukatora może mieć w pewnym momencie dosyć czytania po raz pięćdziesiąty o ulubionym misiu. A, jak wiadomo, dziecko wyczuwa znudzenie i kwaśne emocje jak najlepszy wykrywacz metali szlachetnych. Warto więc dołożyć starań, aby te najcenniejsze, bo spędzone blisko siebie, chwile wykorzystać jeszcze pełniej. Jak? Skorzystać ze sprawdzonych rozwiązań i podpatrzeć, jak robią to inni.

Dobrym rozwiązaniem jest przeczytanie tego, co da rodzicom i dzieciom pretekst do rozmowy i będzie rozwijać wspólne zainteresowania. Ale to oczywiście nic odkrywczego, podobnie jak czytanie „na zmianę”. Jednak wyjście z lekturą w pozadomowe okoliczności nabiera już innego wymiaru. Staje się zabawą. Jak dobra to będzie zabawa dla rodzica, zależy tylko od jego pomysłu i zaangażowania.

Państwo Anna Olej-Kobus i Krzysztof Kobus, rodzice dwóch chłopców, poszli na całego. Od początku włączyli ich do swoich, wydawałoby się za trudnych dla dziecka, pasji. Krzysztof Kobus w jednym z wywiadów internetowych powiedział, że warto spróbować przetrząsnąć stereotypowe myślenie i chętniej otwierać pociechom drzwi do swojego świata. Zaszczepianie pasji przez rodzica, który sam daje przykład i wie, o czym mówi, a w dodatku robi to z ogromnym przekonaniem, nie może się nie udać. Kobusowie zaproponowali chłopcom turystykę i podróże, nawet te bardzo odległe, ekstremalne. Teraz, mając już kilka wielkich wypraw za sobą, mogą dzielić się opiniami i polecać dobre rozwiązania innym rodzicom.

Ważną rolę w ich sposobie na życie pełnią książki. Są dziennikarzami i fotografikami, autorami albumów o podróżach. Stworzyli też serię „Podróżowników” dedykowanych dzieciom – książek, które przynajmniej z kilku powodów warte są uwagi. Po pierwsze, jak reklamują serię sami wydawcy, czyli MAC Edukacja z Kielc, to książki dla dzieci będące udanym połączeniem przewodnika

i kreatywnego pamiętnika. Dzięki zamieszczeniu w nich zadań dzieci lepiej poznają odwiedzane miejsca, a także wiele się uczą o otaczającym je świecie. Już na pierwszy rzut oka widać, że tematów do rozmów i dyskusji rodzinie nie zabraknie, a każdy będzie mógł popisać się wiedzą.

Po drugie, jest wybór. W cyklu zostało już wydanych dziesięć książek, w tym publikacja o Warmii i Mazurach. To dobrze, bo łatwiej rozmawiać z dziećmi o własnym dziedzictwie lub osobistych doświadczeniach. Rodzice zapytani o Kopernika czy zamki krzyżackie z pewnością podzielą się opowieścią, jak to byli..., widzieli..., znają...

Po trzecie, „Podróżownik. Warmia i Mazury” to świetny pomysł na niesztaampowy podręcznik do edukacji regionalnej. Nauczyciele mają możliwość skorzystania z niego podczas realizacji programu szkolnego, rodzice zaś mogą ten proces świadomie wesprzeć i napętląć emocjami. Dużo lepsze efekty przynosi nauka przez doświadczanie niż sucha wiedza zza biurka. A chodzi przecież o świadome poznawanie bogatego dziedzictwa własnego regionu i uwrażliwianie na jego urodę.

Po czwarte, cała seria zaprojektowana jest z dużym smakiem estetycznym. Przemysłane graficznie książki podzielone zostały na kolorowe części, przy czym nie biją w oczy przesłodzone ilustracje. Rysunki mogą zostać pokolorowane według uznania, a całość zmusza do używania wyobraźni. Po piąte, Warmię i Mazury można zabrać na każdą wycieczkę czy spacer. W lesie, nad wodą, w parku – zawsze oferuje temat, ciekawostkę, ćwiczenie, zagadkę, grę. Po szóste, to niemal sto stron zabawy.

Kobusowie wykonali dobrą robotę. Zalet ich publikacji jest z pewnością więcej i najlepiej, jeśli odkryjecie je sami podczas rodzinnych czytanek. Te książki to nie gotowy przepis. Nie każdy rodzic zdecydowałby się na to, by tak jak Kobusowie, z małymi dziećmi u boku, odważnie czerpać z życia. Nie warto też oceniać ich książek z perspektywy doboru faktów historycznych, przyrodniczych czy krajoznawczych. Niektórzy mogą czuć się zawiedzeni, że na Warmii i Mazurach nie ma tego czy owego albo że do kanonu symboli regionalnych weszła... lawenda. „Podróżownik” to raczej pretekst do zabawy, impuls do odkrywania przestrzeni dla całej rodziny, zmiany myślenia o wspólnie spędzonym czasie.



MARTA CHYŁA-JANICKA

Problematyka tożsamości w autorskim filmie animowanym

ZAWIĄZANIE AKCJI

Trudno znaleźć gorszą rzecz od tego, że reżyser pisze o swoim filmie. Gorszy jest tylko skorbut i rozgotowany makaron. Dlatego postaram się pisać o wszystkim naokoło: o tych sprawach bliskich powstawaniu filmu, o jego genezie i o tym, co było dla mnie ważne w momentach kształtowania się obrazu i historii. Żadnych tam „w jednej ze scen zawarłam symbolikę samotności poprzez wykorzystanie ujęcia zardzewiałej rynny”.

PUNKT ZWROTNY

Dowód osobisty wydał mi Prezydent Miasta Olsztyna; zaraz będę wyrabiać trzeci z kolei. Mam legitymację studencką Łódzkiej Szkoły Filmowej. Nie ma w niej już miejsca na pieczętki, a wyrabianie nowej byłoby nietaktem. Moja walizka na kółkach ma tak starte kółka, że w zasadzie trudno je nazwać kółkami, są to raczej romboidalne twory. A przejeżdżała tylko trasę z jednej z ulic olsztyńskiego Zatorza na dworzec, jeździła po Placu Defilad i centralnym,

toczyła się po Łodzi Kaliskiej, wcześniej również Fabrycznej, do centrum. I z powrotem, jak jakiś Hobbit. Lub jak ktoś woli – Żyd Wieczny Tułacz.

RETROSPEKCJE

Urodziłam się w Szczytnie. Mieszkałam tam pierwsze sześć lat – w bloku, w którym widok zastaniała tylna ściana apteki. Może to przez nią moja wyobraźnia, nie mając ujścia, w pewnym momencie wykipiiała pod tą pokrywą ze ściany – i musiałam pomalować parkiet niebieską kredką świecową. Blok w Szczytnie był niedaleko kina „Jurand”, które jakąś dekadę temu (pewnie więcej) wyburzono.

ROZWINIĘCIE AKCJI

Mieszkałam już gdzieś indziej, ale do Szczytna co jakiś czas wracałam, już jako „człowiek z zewnątrz” – na wakacje czy ferie do babć i dziadków, do cioć, ulic, do kina. Z czasem moje miasteczko się zmieniało, a ja byłam coraz





bardziej rozgoryczona zmianami, chociaż raczej były to zmiany na plus. A ja byłam wciąż coraz bardziej rozżalona z tego powodu, że... zacierą się scenografia moich wspomnień (co za egoizm!). I przy okazji kolejnych przeprowadzek działo się podobnie – za jakiś czas odwiedzałam miejsca, z których wyjechałam, patrzyłam na zmiany w głębokim poczuciu, że nic nie jest pewne, tymczasowość świata tego jest jedynie pewna, świat podlega nieustannej przemianie, a kupowanie trwałej tapety do mieszkania jest absurdem. Jako młodej, dorastającej, wrażliwej osobie ciężko było mi znosić te przemiany, potrzebowałam stabilizacji i poczucia, że „to już na zawsze”.

PUNKT KULMINACYJNY

Scenariusz animowanego filmu „Dalej” powstał na podstawie moich doświadczeń. Skończyłam go po czwartym roku studiów. Istotny był dla mnie wtedy temat tożsamości, konfrontacji z przeszłością, przynależności do miejsca. Do współpracy nieprzypadkowo zaprosiłam twórców związanych z regionem – głosu postaciom udzieliłi Milena Gauer (która udzieliła go również postaci z mojego trzeciorocznego filmu – „Neony”) i Grzegorz Gromek, aktorzy olsztyńskiego teatru. W animacji wsparła mnie Katarzyna Łyszkowska, która prowadziła wiele artystycznych działań związanych z Warmią. Dźwięk do filmu nagrał Michał Biedziuk, czynny olsztynianin, działacz społeczny wrażliwy na dźwięk, który współpracował ze mną już kolejny raz. Film na angielski przetłumaczyła Marta Markocka-Pepol, olsztyńska tłumaczka.

Ciekawostką jest, że w filmie wykorzystałam tła inspirowane olsztyńskim Zatorzem oraz ważnymi dla mnie miejscami ze Szczytna. Dotarły do mnie komentarze olsztynian, że scenografia filmu wygląda znajomo. Co cieszy.

ZWROT AKCJI

O ironio, po zrealizowaniu filmu jestem gotowa wyprowadzić się po raz kolejny. Nie przeraża mnie myśl, że nic nie trwa wiecznie. Świadomość ulotności pozwala na docenienie tego, co jest teraz.



Film „Dalej” żyje swoim życiem, jeździ na festiwalach. Poprzedniego lata był do obejrzenia na wystawie Pruzzeland-Puzzeland w olsztyńskim Muzeum Warmii i Mazur. Wystawa miała na celu poruszenie problematyki tożsamości w naszym regionie. O dziwo, było na olsztyńskiej wystawie grzecznie, a zdarzało się, że komentarze w Internecie pulsowały nienawiścią jeszcze przed wernisażem – dotyczyły tego, czyjej tożsamości będzie wystawa – Polaków? Prusów? Niemców? Mazurów? Czy pracujemy na rzecz Niemców? Okazało się, że sama wystawa rozwiązała wszelkie wątpliwości i dalej wojny na słowa nie było.

FUTUROSPEKCJE

Wiosną 2017 r. wystawę będzie można obejrzeć w Gerhart-Hauptmann-Haus w Düsseldorfie.

Planuję współpracować z artystami związanymi z naszym regionem. Jestem sentymentalna i nie oszukam swojej natury.

NAPISY KOŃCOWE

Mój film „Dalej” oraz poprzednie filmy są do obejrzenia na mojej stronie internetowej – martachyla.pl. „Dalej” trwa cztery i pół minuty, można w tym czasie zagotować wodę na herbatę, polecam.

Obecnie pracuję nad filmem dyplomowym, który wieńczy edukację w szkole filmowej. Będzie także o tożsamości i przynależności, tym razem na przykładzie rodziny, która zmienia miejsce zamieszkania podczas transformacji ustrojowej. Jednak ten temat jest we mnie. Jednak go jeszcze nie wyczerpałam. I ciągle mnie inspiruje, zachęca do poszukiwań. Nie zapomnę, skąd jestem, nie zapomnę, dokąd idę. Czego i Państwu życzę. Żeby już tak z pompą zakończyć, o!

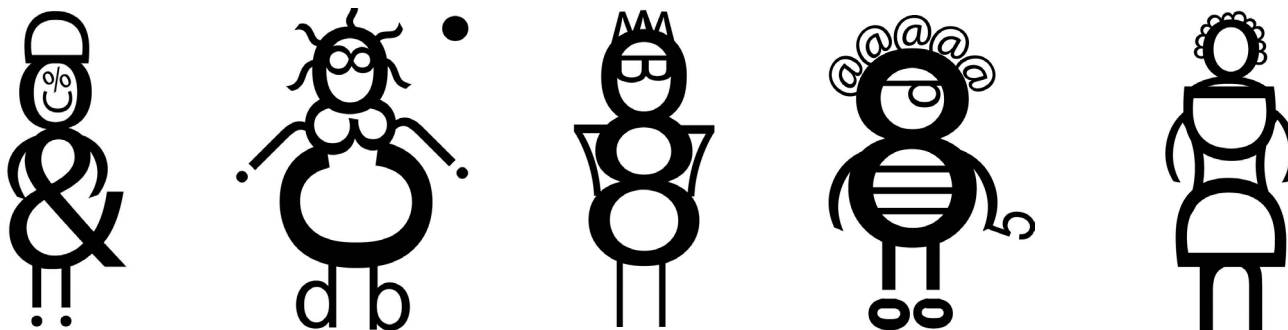
Ilustracje: kadry z filmu „Dalej”.

KAJA WILENGOWSKA

Babeczki

Gdzieś w marcu, może kwietniu Alicja uzmysłowiła sobie stan rzeczy. Miała cztery kartony dobytku — książki, ubrania, wspomnienia, nawet patelnię i kołdrę z Ikea. I tyle. Nie miała tylko dokąd pójść i komu się wyzalić. Zatrzymała się na rogu ulic Cybernetyki i Postępu na nieczynnym przystanku autobusowym, ale przezroczyista wiata nie ukryła kartonów. Gapiała się bezwiednie na mijające ją pontiaki, porszaki i matki z wózkiem — sami szczęściarze, tylko ona taka jak z docusoapa „Dlaczego ja?” albo ze „Stoików”: odcinek „Mistrzynie haeru po klęsce w Mordorze powraca na Warmię”. No tak, Alicji (lat 31) kariera warszawska się nie powiodła. Przez rok pracowała w dużej agencji reklamowej, mieszkała w wygodnej kawalerce, chodziła do klubu fitness Ewy Chodakowskiej, miała legginsy i sneakersy na każdy dzień, szpilki red, hot and nude na życie nocne, 480 znajomych na fb i co tam trzeba jeszcze młodej kobiecie, to miała. Właściwie pracę znalazła, mieszkając jeszcze w Olsztynie. Miła rozmowa kwalifikacyjna i absolwentka zaocznej socjologii zamieniła lukratywną, jak na lokalne warunki, posadę w budżetówce na przygodę życia — dział HR w amerykańskiej agencji reklamowej. Wynajęła kawalerkę blisko pracy i huzia Radexem z walizami. W Warszawie miała już sporo znajomych, przyjaciółki ze studiów, kilka osób z osiedla, więc czuła się tam pewnie, zresztą sama studiowała w stolicy, co prawda zaocznie, ale miasto poznała. Wystarczająco. Ogarnięta, uśmiechnięta, cud oczęta, a teraz co? Taka śliczna, dynamiczna siedzi na przystanku i nie wie, co robić. Jak to? Alicja trochę marzyła na tym przystanku, przejrzała szybko wszelkie topograficznie łatwe rozwiązania — Maga na Ursynowie mieszka sama, Leon na

Woli ostatnio rozstał się z dziewczyną, Adam miał tolerancyjną żonę i dom w Radości. Ech, jakże dziś odległej... Po trzech krótkich rozmowach Alicja nadal nie miała dokąd pójść, a Radość to już dla niej lata świetlne stąd. No cóż, „przychodzi nostalgia i chwyta w sieć nas, wspominać, wspominać choć raz”, jak śpiewał Marian Kociniak w trójkowej „Powtórce z rozrywki”. Właściwie to nie raz, bo za każdym razem, kiedy nie wiedziała, co robić, Alicja rzucała się w wir wspomnień, wór nawet — wór listów. Wyciągała jeden jak papużka wróżby na deptaku w Gdańsku. Dziś, na rogu ulic Cybernetyki i Postępu, wyciągnęła taki: „Kochana Babciu, chciałam Cię zaprosić na moje psimanki, które odbędą się w dniu 8 maja 1993 r. w Katedrze, a potem w naszym domu będzie przyjęcie. Ala”. Mała Ala w białych rajstopkach i za dużych pantoflach po starszej siostrze w ferworze komunijnego poranka: prasowania, przemyrzenia i czesania, z wściekłości stłukła szybę w drzwiach do swojego pokoju. Nic nie było takie wymarzone — buty spadały przy każdym kroku, sukienka spalona żelazkiem, bo się Mama zagapiła, rajstopy ciasne i nie tak białe, a gałzki mirtu przywiedły. Smutek, żal i Jezusowi będzie przykro. Z dwustu dzieci tylko jej ksiądz nie da komunii, bo taka jakaś nieładna, nieświeża, a może i nieczysta. I się wściekła, a przecież dzieci muszą być grzeczne. Pan Jezus widzi. No nieładnie Alu, nieładnie. Szkoda, że rodzice nie byli tak delikatni, nawet w tym dniu. Za stłuczoną szybę Alicja przez tydzień nie mogła oglądać telewizji i co najgorsze nie dostała ani kawałka swojego tortu z psimank. Kiedy goście, a wśród nich i Babcia, po obiedzie jedli kuchni i pyszny tort, Ala podjęła decyzję — już nigdy więcej, przenigdy, jak bony dydy never never, nie



Rys. uczniowie Państwowego Liceum Plastycznego w Olsztynie

JUSTYNA ARTYM

Café Müller – dwie samotności

będzie się wściekać, nawet jak będą jej się flaki przewracać i wszyscy ją będą wkurzać, ona nie trzaśnie drzwiami, nie fuknie i nie rzuci talerzem ani niczym. Howk. Powiedziała. Tort i kuchni — no właśnie, Alicja jeszcze nie jadła kolacji. Siedziała na przystanku już dobre kilka godzin. Ciasto, ach, a wczoraj do pracy Zuza przyniosła pyszne babeczki bananowe z mango. Od tego się przecież zaczęło... Po sześciu minutach od zjedzenia Ala z buzią w słodkim kremie na Instagramie miała dwanaście polubień, po siedmiu Zuza wysłała pustego maila do klienta przez pomyłkę, a po ośmiu minutach przez open space kroczył szef, drąc się niebotycznie. Prezentację klient przesunął o dwie godziny wcześniej, czyli spotykamy się za 15 minut, gotowi? Zawsze skrupulatna Ala nie była gotowa, raczej ugotowana. Pracowała nad prezentacją ostatnie kilka dni, a teraz wszystko jest nie tak — drukarka się zacięła, materiały z najnowszym wykazem do prezentacji miała dostać od Zuzy godzinę temu... Czas płynie, szef stoi nad głową, za dwie godziny byłaby gotowa, ale teraz... Z wściekłości na wszystko stanęła przed wydzierającym się ciągle szefem i nagle na nowiuteńkiej, ślicznej wykładzinie open space'u pojawiła się mokra plama. Plama rosła i rosła i wszyscy doszukali się w jednej chwili źródła tego potoku. Nieruchoma twarz Alicji niczego nie zdradzała, jednak strumień spływający po jej nogach przeraził gapiów. To jedna z tych chwil, o których mówi się, że trwają wieczność. I znowu jak z docusoupa — Alicja (lat 31) zsikała się przy wszystkich na szóstym piętrze nowoczesnego warszawskiego biurowca o godzinie 11.47, stojąc przed szefem i całą brygadą, popuściła i to całkiem sporo. Nikt nic nie mówił, kiedy skonfundowana wychodziła z torbą i szybko spakowanymi rzeczami. Cisza. A teraz na przystanku? Ta, co się nigdy nie wściekała, jak bony dydy never, never... Nie może już przecież wrócić do pracy, musi wrócić na swoją prowincjonalną stronę lustra, żeby tylko nikt się nie dowiedział... Z czterema kartonami, patelnią, kotłdą, wspomnieniami... I co? I zawsze już tam będzie? W krainie: nie krzycz, bo nie dostaniesz tortu. W krainie niespełnionych marzeń i podkulonego ogonka. „Kochana Babciu, zapraszam Cię na moje urodziny, które odbędą się w dniu 8 maja 2016 r. w moim mieszkaniu w Warszawie. Pójdziemy na spacer, a potem zjemy pyszne babeczki i nikt nam nie zabroni się wściekać, jeśli coś będzie nie tak. Ala”.

Jedna uczesana, spokojna. Nie rozbija się o krzesła. Woła, ale niezbyt głośno. Nikt jej nie słyszy. Nikt jej nie widzi, nie usuwa krzesel spod nóg. Wykonuje w sobie swój taniec. Nie jest poobijana. Cierpi dyskretnie.

Druga miota się, rozbija, rozplątane włosy, rozerwana koszula, ktoś usuwa jej z drogi krzesła i stoliki, ona potyka się o nie, kaleczy. Spotyka mężczyznę, jest zimny, zamrożony, martwy, niezdolny do niczego. Ona przywiera do niego. Wtedy nadchodzi zły człowiek i rozplątuje ich objęcia, każe mężczyźnie wziąć kobietę na ręce, ale jego bezwładne ramiona upuszczają ją, ona uderza o ziemię, podrywa się i znów przywiera do niego. Zły człowiek nie daje im spokoju, wciąż rozrywa ich przytulenie, uczy ich swojego chorego układu tak długo, aż oni już nie potrafią inaczej. Wykonują go sami, w rozpaczliwym pośpiechu.

Sekwencja powtarza się wielokrotnie, widać, że on nie chce jej upuszczać, stara się amortyzować jej upadek, ale ona wciąż ląduje na ziemi. Aż do ostatniego razu, kiedy znów stają przed sobą, ona się waha, ale ryzykuje, bardzo powoli go obejmuje i bardzo powoli, bez-wolnie wykonują ten sam układ, bronią się przed nim, ale wykonują go, on stara się ją podtrzymać, ale ona spada.

W tle pierwsza lunatyczka cały czas wykonuje swój taniec zupełnie sama, nie wchodzi w żadne interakcje, nikt nie zwraca na nią uwagi.

Kobieta i mężczyzna miotają się w bezładnym szale, objają o krzesła, które próbuje usuwać zatroskany o nich człowiek w okularach. Przez jakiś czas jedno dźwiga drugie, na zmianę pomagają sobie poruszać się do przodu, aż natrafiają na ścianę... Nie potrafią zobaczyć, co się dzieje, więc uderzają w nią jak muchy w szybę, jedno drugim, agresywnie i brutalnie, rozpaczliwie próbując pchnąć jedno drugie dalej, nie przyjmując do wiadomości, że dalej już się nie da.

Inna kobieta, ubrana, ma buty, płaszcz i perukę. Perfekcyjnie omija stoliki, biega między nimi jak wyczynowiec. Nie rozumie szafu, nie śapie nic z tego, co się dzieje, jest zupełnie normalna. Coś za coś? Niepoobijana, praktyczna, życiowa, ale za to ograniczona? Próbuje całować szalonego mężczyznę, ale on ucieka, szuka tamtej kobiety, która jak on rozbija się o krzesła, a może to ona zaraziła go swoim szaleństwem? Odnajduje tamtą, w przerwie między chorymi układami próbując wczepiać się w siebie, razem upadają na ziemię.

AGATA KULBICKA

Strzeżcie się czarnej kury



Najbardziej rozpoznawalnym stworem, który ongiś budził strach na Mazurach, był kłobuk zwany także koboldem, chobołdem, latańcem lub elfem. Nosił wiele imion, bo i z różnych mazurskich miejscowości pochodzą rozmaite obrazy tego stwora. Wspólnym mianownikiem wszystkich podań było uplasowanie kłobuka wśród demonów niższego rzędu, co wiąże się też z tym, iż daleko mu było do samego króla podziemi – diabła. W przeciwieństwie do tego ostatniego kłobuk nigdy nie wchodził z człowiekiem w układy, których stawką miała być ludzka dusza. Prawdę mówiąc, życie ludzkie było mu zgoła obojętne. Jedyne, na czym mu zależało – i w tym miejscu różne podania znowu są ze sobą zgodne – to święty (nomen omen) spokój i okrągły brzuch, wypełniony jajecznicą z tłustymi skwarkami lub kluseczkami i winem.

Znany go pod różnymi postaciami, czego wytłumaczeniem mogłaby być jego umiejętność przyjmowania dowolnego kształtu. Podobno niektórzy widzieli go pod postacią czarnego koguta, sowy, a czasem nawet kota, małego dziecka ubranego na czerwono lub smoka. Za smoczym wizerunkiem przemawia posiadanie długiego, iskrzącego się ogniem ogona.

Jednak zdecydowanie najczęściej kłobuk pojawiał się w domostwie pod postacią czarnej kury. Jeżeli takie zmkle licho wyglądające jak nieszczęście przypałało się do gospodarstwa, domownicy byli na najlepszej drodze do wyhodowania własnego kłobuka. Taką wynędzniałą kurę należało umieścić w spokojnym miejscu, np. na strychu lub w specjalnie przygotowanej dla niego izbie z czarnymi ścianami. Najważniejsze, by miejsce to było odludne i nikt nie zakłócał kłobuczego spokoju. Należało go też oczywiście karmić. Tak obsłużony kłobuk przesypiał całe długie dnie, by w nocy prowadzić swoją działalność – i to kolejny argument przemawiający za tym, że kłobuk działał jednak z ramienia sił nieczystych. Nocami miał wylatywać przez komin, a na niebie ludzie widzieli tylko jego ognisty ogon przypominający ogon komety. Mimo swojej pozornej prostoty (żeby nie nazwać tej cechy prostactwem), kłobuk musiał być dobrym znawcą ludzkiej natury, dobrze bowiem wiedział, jakiej zapłaty za gościnę oczekują ludzie. Pod osłoną nocy okradał niezabezpieczone gospodarstwa i znosił wszystkie dobra do domu, w którym akurat mieszkał. Biada tym, których kłobuk nawiedzał podczas nocnych eskapad. Jedyne ratunkiem przed tym stworem był znak krzyża, którym należało zaznaczać w domu wszystko, co mogło paść łupem kłobuka. Niektórzy opowiadają, że kobiety miały w zwyczaju po całym dniu pracy przy kołowrotku czynić wieczorem nad

tym sprzętem znak krzyża, by w nocy nie przedły wełny jakieś ręce nieczyste. Miało to miejsce w czwartki wieczorem, gdyż to właśnie tej nocy kłobuk miał wykazywać szczególną aktywność.

Uczynienie znaku krzyża było też jedynym sposobem, by w konszachty z kłobukiem w ogóle nie wejść. Bądź co bądź był siłą nieczystą, a interesy z przedstawicielami tej grupy nigdy nie kończyły się dobrze. Jeżeli człowiek nie chciał przyjąć kłobuka, który się do niego przypałał, musiał go takim znakiem krzyża odstraszyć.

Kłobuk miał przenosić skradzione skarby na ognistym ogonie. Czasem zdarzyło się, że cwany stwór źle obliczył swoje siły – wtedy część dobytku, którym był objuczony, upadała na ziemię. Jeżeli jednak ktoś liczył na to, że w ten sposób sam także skorzysta na kłobuczej działalności, bardzo się mylił, bowiem wszystko, co zostało wykradzione przez kłobuka, a nie trafiło do domu jego gospodarza, zamieniało się w pakuły. Był jednak inny sposób, by przejść od kłobuka przenoszone skarby. „W tym celu pokazuje mu się tę część ciała, którą zawsze, gwoli przyzwoitości, staramy się zakrywać, a on musi upuścić ciężar”. Taki manewr także kończył się różnie, bo kłobuk nie pozostawał dłużny i jeżeli sprawca bezwstydnego czynu nie miał wystarczającego refleksu, mógł być obsypany wszami.

Co natomiast działo się, kiedy współpraca między kłobukiem a gospodarzem przestała się układać? Rozstać się z kłobukiem nie było łatwo. Często zdarzało się, że był dziedziczny z pokolenia na pokolenie i wiele lat spędzał u jednej rodziny, gdy jednak opuszczal swoich opiekunów podobno w najlepszym wypadku znikaly wszystkie dobra, które do tej pory naznosił do domu. Te bardziej złośliwe kłobuki miały wzniecać pożary i palić całe domostwo. Nigdy jednak nie odbierały życia ludziom. Być może zniszczenie całego dobytku dla niektórych stanowiło karę gorszą od śmierci. Nie od dzisiaj wiadomo, że im więcej człowiek posiada, tym większe poczucie krzywdy i niesprawiedliwości towarzyszy mu w chwili straty wszystkiego.

Źródła:

Max P. Toeppen, „Wierzenia mazurskie”, Dąbrówno 2008.

Paweł Zych, Witold Vargas, „Bestiariusz słowiański”, Olszanica 2012.

„Warmiacy i Mazurzy. Życie codzienne ludności wiejskiej w I połowie XIX wieku”, red. Bogumił Kuźniewski, Olsztyn 2002.

MONIKA KOWALEWSKA

Kto muzi po warnijsku?

Jestem stąd. Z Warmii. Tu się urodziłam i wychowałam. Można powiedzieć, że całe dzieciństwo nasiąkałam Warmią. Ale czy nasiąkałam dostatecznie? Czy wiem, kim jestem, skąd pochodzę, jaką historię ma ziemia, na której mieszkam?

Często zastanawiam się, co dla mnie znaczy być Warmiaczką? Przecież wszyscy jesteśmy obywatelami Europy, ba!, nawet świata. Kapitalizm, Unia Europejska i Internet dały nam nieograniczone możliwości pokonywania tysięcy kilometrów, poznawania ludzi z drugiego krańca globu, czerpania z tego, co inne, ciekawe, inspirujące. Pytanie, czy w tej przestrzeni, a co ważniejsze, czy w naszej przestrzeni mentalnej, jest jeszcze miejsce na przywiązanie i kultuwanie tego, co wokół nas, najbliższe. Wydaje się, że proces zanikania tożsamości regionalnej rozpoczął się dawno temu. Tysiące młodych ludzi migrowały ze wsi do miast, zapominając o przeszłości, o tym, skąd są. Dodatkowym czynnikiem, który wpłynął na zanikanie kultury regionalnej, szczególnie widocznym na Warmii, była migracja za granicę. Ci, którzy wychowali się w tutejszej kulturze, przekazywanej z pokolenia na pokolenie, wyjechali, a młodzi nie zawsze podtrzymywali te tradycje. Dotyczy to także języka — dziś gwary, kiedyś mowy, którą posługiwano się na co dzień. Na warmińskiej wsi rzadko już można spotkać kogoś, kto mówi gwarą. Są to zazwyczaj ludzie starsi, którzy posługują się nią jedynie w prywatnych, domowych rozmowach. To dzięki takim ludziom można jeszcze ten język poznać i ocalić go od zapomnienia.

Ja poznałam warmińskie zwyczaje i język dzięki ómie, ópie i unklom. Na każdej wakacje jeździłam do niewielkiej wsi położonej wśród lasów, nad samym jeziorem. Buła to wtedy prawdziwa warmińska wieś — jeden sklepik, piaszczysta droga, stare domy z podwórzami, a na nich krowy, kaczki, gęsi, a nawet trzecie. Ludzie byli zwykli, wszyscy się znali i odwiedzali. Dla młodej dziewczynki takie wakacje to była nie lada atrakcja. Rankiem każdego dzieńka jeździliśmy na kole do sklepu kupsić chleb i do gospodarza po mlyko. Babcia gotowała same specjały — przecierane kluski na mlyku na fryszytk, a na obiad ziemniaki z pulpetami w sosie octowym. Najwspanialsze były jednak kuchy. Tych nigdy nie było dość, a óma piekła najlepsze. Poza jedzeniem można tam było robić wszystko, czego dusza zapragnęła. W gorące dni z miejscowymi dziećmi kąpaliśmy się w jeziorze, graliśmy w palanta i podchody. Wieczorami w pokoiku na poddaszu czytałam książki. Tamten czas wspominam bardzo ciepło. To właśnie te doświadczenia zaszczepiły we mnie tę miłość do naszej ziemi. Dziadkowie zawsze mówili gwarą. Wszyscy mówili. Dziś też mówią, ale mniej. Jest to tendencja

bardzo niepokojąca. Szacuje się, że rdzennych Warmiaków, którzy pozostali po wojnie na swej ojczyźnie, jest dzisiaj nie więcej niż 4000, zapewne jednak nie wszyscy mówią gwarą. Co zrobić, żeby ożywić nasz rodowity język?

Od kilku lat coraz częściej słyszy się o inicjatywach mających wskrzesić gwarę warmińską. Efektem tych prac jest wydanie kilku publikacji książkowych, m.in. „Elementarza gwary warmińskiej” Izabeli Lewandowskiej i Edwarda Cyfusa, w którym znajdziemy gwarowe nazewnictwo związane z rodziną, gospodarstwem czy domem, a także wielu artykułów. W przestrzeni elektronicznej także odnaleźć można treści poświęcone temu zagadnieniu — słowniki gwary warmińskiej, nagrania, artykuły o historii rozwoju gwary warmińskiej, gawędy, wywiady. Od niedawna na jednym z portali społecznościowych funkcjonuje także profil o nazwie „Gwara warmińska”. Znajdziemy tam informacje o gwarze, teksty gwarowe oraz wiadomości na temat spotkań z nią związanych. Ważnym wydarzeniem było wpisanie decyzją Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego gwary warmińskiej w czerwcu tego roku na listę niematerialnego dziedzictwa kulturowego UNESCO. Wniosek złożyli znawcy tej gwary i jej popularyzatorzy: historyk i regionalista prof. Izabela Lewandowska z Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego oraz Edward Cyfus, rodowity Warmiak i autor książek o kulturze i życiu na dawnej Warmii. Jest to pierwszy wpis na tę listę z terenu Warmii i Mazur. Dzięki temu podjęte zostaną dalsze działania mające popularyzować gwarę warmińską wśród młodych ludzi. Zapowiadane jest powstanie „Pracowni Gwary Warmińskiej” oraz opracowanie materiałów dydaktycznych i słownika gwary, a także udostępnienie nagrań wizualnych i dźwiękowych, które będą służyły do nauki gwary.

Może dzięki takim inicjatywom uda się reanimować gwarę warmińską i sprawić, że na nowo zagości ona w naszych domach. A ja z dumą będę mogła powiedzieć dziadkowi: „Ópa, muzie po warnijsku”.



ELŻBIETA ZAKRZEWSKA

Tajemniczy lokator na strychu

Wiosna następnego roku długo kazała na siebie czekać. Wreszcie po ciągnącym się w nieskończoność deszczowym kwietniu przyszedł cieplejszy maj. W spokojny wiosenny wieczór z Hotelu Polskiego wysypała się gromadka ludzi. Wśród roześmianej czeredy szczególną uwagę przyciągali młodzieńcy i dziewczęta w mundurach harcerskich.

– Druhu drużynowy, ale druh zagrał! Po prostu świetnie! – zawołał jeden z młodzieńców.

– Dziękuję za uznanie – odpowiedział Henryk Lefery, do którego skierowane były słowa. – Wszyscy odegrali swoje role wspaniale. A Róża i Wiktor tak przejmująco wystąpili, że na długo pozostaną w pamięci publiczności.

– Utwór „Orleńta” zrobił na wszystkich duże wrażenie – zauważyła Róża Raczyńkówna odtwarzająca jedną z głównych ról w spektaklu. – To naprawdę ważne, aby pokazywać takie patriotyczne przedstawienia, które przypominają nam o naszej historii i przeszłych wydarzeniach.

– Druga część występu naszej drużyny harcerek też bardzo się podobała. Okazało się, że Konrad i Tadeusz mają ukryte talenty aktorskie – powiedział Wiktor Chyliński, patrząc z podziwem na przyjaciół.

Seminarzyści Tadeusz Smoczyński i Konrad Kaźmierski spojrzeli na siebie, a ten ostatni powiedział: – Nie wiem, Tadeusz, czy zgoda na ten występ to była dobra decyzja.

– Boisz się docinków kolegów – Tadeusz pokiwał głową. – Nic dziwnego, wystąpiłeś przecież pierwszy raz, więc muszą to jakoś skomentować – dodał wyrozumiale. A po chwili poradził: – Bądź ponad to.

– Nigdy bym nie przypuszczał, że Konrad wystąpi w humorystycznym przedstawieniu. Jego scenki w „Chrapaniu z rozkazu” były przekomiczne – Paweł Jabłonowski nie krył zaskoczenia. – Gratuluję świetnego występu, kolego – wyciągnął rękę do Konrada.

Ten spoglądał na przyjaciół z zażenowaniem.

– Dajcie spokój, bo za chwilę poczuję się jak gwiazda filmowa – powiedział nieco zawstydzony. – Zagrałem, jak potrafiłem i koniec.

– O, nie taki znów koniec – zaoponował drużynowy. – Właśnie rozmawiałem z komendantem garnizonu, który jest zainteresowany naszym przedstawieniem i chciałby, abyśmy wystąpili dla żołnierzy z działowskich koszar.

– Nasza drużyna ma przed sobą karierę teatralną! – roześmiał się Jurek Lipiński, kolejny ze słuchaczy Seminarium Nauczycielskiego.

– Litości – jęknął Konrad. – Drugi raz tego nie przeżyję.

– Nie przesadzaj – odezwała się jego siostra Ewa. – Bierz przykład z Janeczki. Nasza siostrzyczka wcale nie ma obiekcji przed występami na scenie. Szkoła powszechna też przygotowała przedstawienie. Janeczka zaśpiewa w szkolnej operze „Żabi król” i jest z tego bardzo dumna.

– To rodzinne – pokiwał głową Paweł. – Zobaczycie, wkrótce rodzina Kaźmierskich będzie mogła poszczycić się słynnym aktorem i wspaniałą śpiewaczką – zażartował.

– Daj już spokój – Konrad nie potrafił dopasować się do wesołego nastroju przyjaciół. – Idę do domu. Muszę dojechać do siebie po tym scenicznym przeżyciu. Ewa, idziesz ze mną? – zwrócił się do siostry.

– Przejdziemy się jeszcze – odezwał się zamiast niej Jurek. – Później odprowadzę Ewę do domu. Zgoda? – spojrzął pytająco na dziewczynę.

Ta zerknęła spłoszona na brata i niepewna jego reakcji odpowiedziała z wahaniem. – No... dobrze, ale nie za długo.

Konrad w ogóle nie zwrócił uwagi na zmieszanie siostry, tylko pożegnawszy się z kolegami, ruszył w kierunku rynku. Pozostali seminarzyści z drużyny harcerek wraz ze swym drużynowym skierowali się w stronę internatu.

– Do zobaczenia! – zawołali. – Przyjemnego spaceru! – A gdy oddalili się na większą odległość, Ewę i Jurka dobiegł ich okrzyk: – Zakochana para!

– Mają szczęście, że są już daleko, bo bym się z nimi policzył – Jurek się zdenerwował.

– Dlaczego? – niewinnie zapytała Ewa. – Czy obrazili kogoś z nas?

Chłopak zmieszał się i przez chwilę szukał właściwych słów.

– Prawdę mówiąc – zaczął niepewnie – to nie ma w tym stwierdzeniu nic niestosownego. Chyba że ty masz inne zdanie – niespokojnie podniósł oczy na dziewczynę.

– Ja nie mam nic przeciwko temu – powiedziała pewnym głosem Ewa.

– Bardzo się cieszę – odetchnął z ulgą Jurek. A gdy po chwili dotarło do niego znaczenie ich słów, gdyby nie zmrok panujący dookoła, Ewa dojrzałaby pojawiający się na jego twarzy rumieniec.

– Przejdźmy w kierunku ulicy Nowej. Zobaczmy, jak idą prace przy budowie poczty – szczęśliwy, ale w równym stopniu zażenowany nie odważył się kontynuować tematu. Obawiając się, że spłoszy panującą między nimi szczególną atmosferę, wołał zmienić wątek rozmowy na bardziej neutralny.

Niewielu było przechodniów o tej porze, więc trudno im było nie zauważyć drobnej postaci przysmykającej między kamienicami. Nieduża, szczupła, dziecięca sylwetka wkrótce zniknęła im z oczu, ale jej widok mocno ich zaskoczył.

– Co takie małe dziecko robi o tej porze samo na mieście? – zdziwiła się Ewa. – Jacy rodzice pozwalają na takie późne wycieczki?

– Sądząc po ubogim ubraniu, mogę się domyślić, że dziecko to nie ma dostatecznej opieki – zauważył Jurek. – Przecież wiesz, że w mieście jest mnóstwo ubogich rodzin, których dzieci włóczą się same po ulicach – dodał. – A propos ulicy, wiesz, że moja ulica będzie się nazywała teraz inaczej?

– Rzeczywiście, przecież mieszkasz na Pocztovej, a poczta powstaje na Nowej, więc coś tu nie tak – stwierdziła Ewa.

– Doszły mnie słuchy, że moją Pocztową przemianują na Świętej Katarzyny. Wkrótce się przekonamy, czy to prawda.

– Dużo się dzieje u nas w mieście. Odbudowa kościoła ewangelickiego, wzniesienie nowego budynku dla poczty. Mówią, że przy ulicy Nowej powstaną domy udziałowe dla urzędników państwowych. Słyszałam też o planach budowy nowej siedziby dla szkoły rzemieślniczej.

– Ojciec zainteresował się tą szkołą, ponieważ mój młodszy brat ma zdolności techniczne i dobrze bytoby, gdyby mógł kształcić się w tym kierunku.

– A ja czekam na szkołę gospodarstwa w Malinowie. Tak chciałabym tam uczęszczać! Kursy były wspaniałe, ale to nie to samo, co szkoła.

Przeszli obok budynku powstającej poczty i ulicą Daszyńskiego ruszyli w kierunku powrotnym. W świetle niewielu gazowych latarni ich sylwetki wyglądały jak postacie na filmowej kliszy. Jurek nieśmiało wziął Ewę za rękę. Nie oponowała. Szli dalej w milczeniu i było im niewyobrażalnie dobrze.

– Szkoda, że jesteśmy już blisko twojego domu i zaraz będziemy musieli się rozstać – westchnął z żalem Jurek, gdy zbliżali się do Piwnej.

– Przecież widzimy się prawie codziennie – powiedziała Ewa.

– Ale zawsze w obecności innych.

– No więc czas to zmienić.

„Teraz albo nigdy” – pomyślał Jurek i z determinacją zapytał:

– Chciałabyś?

– A ty? – Ewa przystanęła przed domem.

– Cały czas o tym myślę.

– To dlaczego nic nie robisz w tym kierunku?

– No więc jutro po południu przy zamku – zaproponował odważnie.

– Dobrze. Tylko nie spóźnij się, bo nie będę czekać – ostrzegła go, otwierając drzwi.

– Nie ma obawy. Będę przed czasem – zapewnił ją, gdy zniknęła w głębi korytarza.

Dystans do swojego domu pokonał, prawie biegnąc, tak bardzo był podekscytowany. Nie zauważył maleńkiej szczupłej postaci niemalże przyklejonej do ściany jego kamienicy na Pocztovej. Wbiegł na piętro i, otwierając drzwi do mieszkania, pomyślał: „Od tej chwili będzie inaczej”.

– Zwróciliście uwagę, że od kilku nocy słychać jakieś szmery u nas na strychu? – zapytała pani Lipińska przy śniadaniu.

– Wydaje ci się – zbagatelizował jej obawy mąż.

– Ale naprawdę już kolejną noc mam wrażenie, jakby ktoś coś przesuwiał czy przestawiał.

– Może to duchy? – zażartował Janek, najmłodsza latorośl Lipińskich.

– Nie strasz mamy, bo już nigdy nie pójdzie na strych i będziemy musieli sami wieszać tam pranie – skarcił brata Jurek.

– Śmiejecie się ze mnie, ale ja naprawdę coś słyszałam – broniła się pani Lipińska.

– Uspokójcie się już. Jak wrócę z pracy, sam pójdę na górę i sprawdzę, co tam się dzieje – zdecydował ojciec rodziny.

– Zbierajcie się, już późno – pani Lipińska podniosła się od stołu. – Janek, spakowany do szkoły? Sprawdź, czy wszystko wzięłeś, żebyś nie musiał się wracać, jak to ostatnio bywa – zwróciła uwagę młodszemu synowi.

– Mamo, czy będę ci potrzebny dziś po południu? – zapytał Jurek.

– Nie wiem jak mamie, ale mnie na pewno przyda się twoja pomoc – ojciec już był przy wyjściu, ale pytanie syna zawróciło go z drogi. – Mama może dziś się bez ciebie obejść, ale ja chciałbym, żebyś mi pomógł dokończyć murowanie ogrodzenia naszego podwórka. Jak wrócę z pracy, zrobimy zaprawę murarską i szybko się z tym uporamy, bo już niedużo zostało. No to do popołudnia – i zniknął za drzwiami.

„No pięknie – pomyślał chłopak. – Spotkanie z Ewą mam już z głowy.”

Po drodze do Seminarium zastanawiał się, jak uprzedzić dziewczynę, że nie będzie mógł przyjść w umówione miejsce.

Pani Lipińska przez cały poranek starała się nie myśleć o nękających ją obawach związanych z odgłosami ze strychu. Zająta się codziennymi obowiązkami i na szczęście nie nachodziły jej już więcej natrętne myśli. Nie było jeszcze południa, gdy opuściła dom, udając się na rynek po sprawunki.

Na ulicy Dworcowej i na rynku zaroilo się od robiących o tej porze zakupy gospodyń domowych. Nic dziwnego, sklepów o różnych branżach było sporo i stały jeden przy drugim. Kolonialny, rzeźniczy, sklep bławatny Kamińskiego,



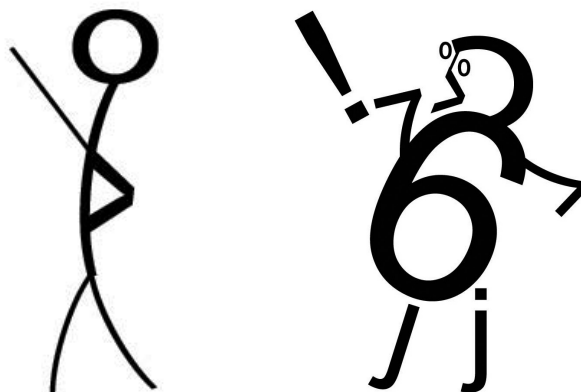
sklep z butami u Majewskiego. Rynek wyłożony brukiem — „kocimi łbami”, jak mówili miejscowi — prezentował się malowniczo. Okolony murowanymi domami krytymi czerwoną dachówką i dużą liczbą kwitnących drzew sprawiało wrażenie bajkowego miasteczka. Pani Lipińska, tu i ówdzie zatrzymywana przez znajome, gawędziła z nimi pogodnie, wymieniając opinie na temat bieżących wydarzeń w mieście. Wspólnie oglądały wystawy, podziwiając kapelusze u Wilamowskiego czy drogerijne drobiazgi u Wellengera. Zajął jej to więcej czasu, niż się spodziewała, więc pośpiesznie kierowała się w stronę domu na Pocztovej. Na koniec zostawiła sobie zakup pieczywa w piekarni pani Sosnowskiej na Młyńskiej, która była o krok od Pocztovej. Gdy zbliżała się do sklepu, jej uwagę zwróciła kręcąca się nieopodal szczupła dziewczynka. Jej ubranie wskazywało na to, że właścicielka jeszcze do niego nie dorosła. Zbyt luźna sukienka sięgała prawie po kostki, a za długie rękawy, mimo podwinięcia, zakrywały dłonie. Dziewczynka miała na nogach liche buty o drewnianych spodach — klumpy, jak mówili miejscowi — które musiały być za duże na jej stopę, bo idąc, powłóczyła nimi z trudnością. Jej włosy były splecione w dwa warkoczki, z których wymykały się niesforne kosmyki. Na jednym z warkoczków widniała czerwona kokardka, druga widocznie gdzieś się zgubiła. Dziewczynka łakomym wzrokiem patrzyła na witrynę piekarni, z której zachęcająco spoglądały pachnące bułeczki, lukrowane szneki i maślane rogaliki.

„Pewnie jest głodna” — pomyślała pani Lipińska. „Czyje to dziecko?” — zastanowiła się, ale żadna rodzina nie przychodziła jej na myśl.

— Dzień dobry — pozdrowiła panią Sosnowską, wchodząc do piekarni.

— Dzień dobry — odpowiedziała właścicielka. — Myślałam, że pani już nie przyjdzie. Zwykle jest pani z rana, a tu już po dwunastej.

— Tak jakoś dłużej mi dziś zeszło na rynek — odpowiedziała pani Lipińska. — Przed piekarnią zauważyłam nieznaną mi dziewczynkę, która chciwie wpatrywała się w wystawę z pieczywem. Widziała ją pani? Czyje to dziecko? — zapytała.



Pani Sosnowska spojrzała przez okno.

— Rzeczywiście, wygląda na niedożywną i zaniedbaną. Nie znam tej dziewczynki, nigdy przedtem jej nie widziałam.

— Poproszę o żytni chleb i bułkę dla dziewczynki. Pewnie od rana nic nie jadła — zatroszczyła się pani Lipińska.

Jednak gdy opuściła sklep, dziewczynki już nie było na ulicy. Mimo że bacznie rozglądała się wokół, nigdzie jej nie dostrzegła.

„Trudno” — pomyślała. — „Może ktoś inny zainteresuje się tym dzieckiem”.

Jerzy był zły, że nie może spotkać się po południu z Ewą. Przez wszystkie zajęcia w Seminarium był rozkojarzony, ponieważ szukał sposobu, aby zawiadomić o tym dziewczynę. Nie chciał przekazywać tej wiadomości przez Konrada, bo obawiał się docinków ze strony kolegi. Na szczęście problem sam się rozwiązał. Gdy wychodził ze szkoły, przy aptece „Pod Orłem” zauważył Ewę idącą ze swą koleżanką Jadwigą.

— Dzień dobry, dziewczęta — przywitał je. — Wam to dobrze. Spacerujecie sobie po mieście, podczas gdy inni muszą ciężko pracować — powiedział z udawaną skargą w głosie.

— Czyżbyś miał na myśli siebie? — Jadwiga nie miała nastroju do żartów. — Od kiedy to chodzenie do szkoły porównuje się z ciężką pracą? Siedzicie sobie i czytacie.

— Oj, Jadwiśka, daj spokój! — uspokajała ją Ewa. — Co ty tak na serio? Jurek po prostu jest w świetnym humorze i dowcipkuje. A wbrew pozorom nauka jest ciężką pracą — dodała poważnie.

— Wiem, wiem — machnęła lekceważąco ręką Jadwiga. — Od kiedy spotykasz się z seminarzystami tylko nauka, nauka i w ogóle nie można z tobą o niczym rozmawiać! A ten tu — wskazała na Jurka — zupełnie zawrócił ci w głowie. Chcesz mu dorównać, stąd ciągle twoje gadki o szkole w Malinowie.

— Jadwiga, nie możesz tak mówić — Jerzy poczuł, że musi wystąpić w obronę

Ewy. – Każdy ma prawo do swoich zainteresowań. Jedni chcą się uczyć i pogłębiać wiedzę, a innym wystarczy to, czego nauczyli się w szkole powszechnej.

– To znaczy, że ja jestem ta inna, tak? – zaperzyła się Jadwiga. – W takim razie dziękuję państwu za towarzystwo! Widzę, że nie pasuję do was. Nie to nie! – obróciła się na pięcie i pomaszerowała w swoją stronę.

– Ale temperamentna i kłótliva dziewczyna – pokręcił głową Jurek. – Jak ty z nią wytrzymujesz? – zwrócił się do Ewy.

– Znamy się od dziecka. Chodziliśmy razem do powszechniaka i mimo różnicy zdań zawsze jakoś się dogadywałyśmy – Ewie było przykro z powodu zaistniałego incydentu. – Mam nadzieję, że jej przejdzie i wkrótce będzie między nami jak dawniej.

– Dlaczego ona z taką złością mówi o nauce? Przecież byliście razem na kursie gospodarstwa i chyba była z tego zadowolona – dziwił się Jurek.

– Tak, ale na kursie chce poprzestać, bo nie daje sobie rady z przedmiotami ogólnymi – wyjaśniła Ewa. – Chyba jest zazdrosna, że mnie szło lepiej i chcę uczyć się dalej, już bez niej.

– No i jeszcze ja dolałem oliwy do ognia – seminarzystą, który zainteresował się jej koleżanką – Jurek nie ukrywał, że jest dumny z ich zażyłości.

– No właśnie, mój seminarzysto – roześmiała się dziewczyna. – Widzimy się dzisiaj po południu?

– Jest pewien problem – chłopak spojrzał na nią przepraszająco. – Muszę pomóc ojcu po południu ... – zawiesił głos.

– O, szkoda – Ewa natychmiast sposepniała. – Będziesz zajęty do wieczora?

– Nie wiem – Jerzy był zakłopotany. – Może uda mi się wyrwać. Jakby było za późno na spacer, to moglibyśmy pójść posłuchać radia do Towarzystwa Czytelní Ludowych.

– Bardzo dobry pomysł – ucieszyła się Ewa. – Audycje zaczynają nadawać zawsze o wpół do dziewiątej. Posiedzielibyśmy z godzinę.

– Świetnie – rozchmurzył się Jerzy. – To czekaj na mnie w domu. Przyjdę po ciebie.

– Ale się rodzice zdziwią, a Konrad! Ten dopiero będzie używał sobie na tobie – roześmiała się dziewczyna. – Nie obawiasz się? – spojrzała na niego z łobuzerskim błyskiem w oku.

– Trudno – westchnął. – Jakoś to zniosę. Byleby tylko wieczór się udał.

– Doceniam – powiedziała Ewa z uznaniem. – To do zobaczenia.

– Do widzenia – Jerzy pochylił się, jakby chciał pocałować ją w policzek, ale poczuł, że się zagalopował, więc dotknął tylko po przyjacielsku jej ramienia i odszedł.

„Naprawdę jest mną zainteresowany” pomyślała z radością Ewa i rozmarzona ruszyła w stronę domu.

Po obiedzie Jurek z ojcem wzięli się do pracy. Pomagał im trochę Janek, ale ciągle wybiegał na ulicę, bo wołał go koledzy, więc wkrótce zrezygnowano z jego udziału. Kamienice na Pocztovej łączyły wspólne podwórka z domami z równoległej ulicy Górnej. Podwórka były pooddzielane różnymi murkami, płotkami czy parkanami. To, które należało do Lipińskich, miało wyrwy w murku i właśnie pan Lipiński wraz z synem usiłowali je zamurować. Jurek, myślami będąc przy Ewie, nie bardzo garnął się do pracy. Niemrawo reagował też na próby nawiązania rozmowy przez ojca, aż ten wreszcie znecierpliwiał się.

– Jerzy, mówię do ciebie! Co się z tobą dzieje? Gdzie ty kładziesz tę zaprawę?! Nie widzisz, że to za gruba warstwa?

Zmieszany Jurek podniósł oczy na ojca i bąknął:

– Eh... Przepraszam, tato. Zamyśliłem się.

– Zamyśliłem? Ty chyba w ogóle nie myślisz, co robisz! – zdenerwował się ojciec.

Jerzy spuścił głowę i nic nie odpowiedział. Ojciec, widząc jego zmieszanie, nieco złagodniał.

– Synu, jesteś jakiś nieprzytomny dzisiaj. Masz kłopoty?

Popatrzył na niego z troską, a chłopakowi wstyd się zrobiło, że niepotrzebnie martwi ojca swym zachowaniem.

– Nie, tato, wszystko w porządku. Po prostu myślę o czymś innym i dlatego tak nieskładnie idzie mi praca – tłumaczył się.

– Pomyśl trochę nad tym, co robisz – ojciec uspokoił się nieco. – A o czym tak dumasz, jeśli można wiedzieć?

Jurek spojrzał na niego zakłopotany. Jak tu powiedzieć, że myśli o dziewczynie? Ojciec od razu go zruga i powie, że ma jeszcze na to czas.

– Zastanawiam się, czy zdążę pójść do czytelní posłuchać odczytu – powiedział nieśmiało.

– A na jaki temat? – zainteresował się ojciec.

„Masz babo placek” – jęknął w duchu Jurek. „A tak nie lubię kręcić”.

– Coś na temat życia na innych kontynentach – wymyślił na poczekaniu, nie chcąc przyznawać się do spotkania z Ewą.

– No, to bardzo ciekawe – ojciec wyraził swą aprobatę. – O której godzinie zaczyna się ten odczyt?

– Około ósmej – gładko nagiął czas do swoich potrzeb Jurek. Przecież musiał jeszcze pójść po Ewę.

– Myślę, że spokojnie zdązysz. Zostało nam już niewiele do zrobienia. Pod warunkiem, że się skupisz i nie będziesz myślał o niebieskich migdałach – zaznaczył ojciec.

– Oczywiście, tato, już biorę się za robotę – powiedział chłopak uspokojony, że nie spóźni się na spotkanie.

Lokal Towarzystwa Czytelni Ludowych Przy Placu Kościelnym był pełen młodych ludzi. Przeważali wśród nich seminarzyści. Dzisiejszego wieczoru zebrali się miłośnicy Beethovena, ponieważ już za chwilę miało rozpocząć się nadawanie koncertu tego kompozytora. Czekać na audycję, seminarzyści przegłądali leżące na półkach, gromadzone przez czytelnikę czasopisma. Dużą popularnością cieszył się kwartalnik dla społeczności chrześcijańskiej „Promienie światła”, czasopismo „Morze” oraz oczywiście „Gazeta Mazurska” wydawana przez panią Emilię Sukertową-Biedrawinę.

Gdy do pomieszczenia weszła Ewa z Jurkiem, niektóre głowy podniosły się na ich widok. Paweł Jabłonowski trącił Konrada.

– Nasz kolega naprawdę zaprzyjaźnił się z twoją siostrą.

Konrad popatrzył na niego chmurnie i powiedział.

– Dobrze, że Ewka wybrała przynajmniej kogoś z nas, bo innego chłopaka bym przy niej nie zniósł.

– Czyli dajesz im swoje błogosławieństwo – roześmiał się Paweł.

– Tak, ale Jerzy jeszcze o tym nie wie. Spójrz, udaje, że nas nie widzi – Konrad pokazał na kolegę, który rzeczywiście bardzo się starał nie dostrzec przyjaciół z seminarium.

– Podejdźmy do nich – zaproponował Paweł. – Skróć mękę kolegi. Pokaż mu, że akceptujesz ich przyjaźń.

– Przyjaźń? – Konrad zmarszczył brwi. – No dobrze, niech im będzie. Ostatecznie i tak nasza grupa nie rozleci się, a to najważniejsze.

– Jurek, co tak późno wczoraj wróciłeś? – zapytała przy śniadaniu pani Lipińska.

– Byłem na koncercie w Towarzystwie Czytelni Ludowych, który trochę się przeciągnął – usprawiedliwił się syn.

– Na koncercie? A mnie mówiłeś wczoraj, że idziesz wystłuchać odczytu – zdziwił się ojciec. – Coś kręcisz!

Chłopak zaczerwienił się aż po korzonki włosów. Nie zdążył odpowiedzieć, bo odezwał się Janek.

– Pewnie był z Ewką Kaźmierską. Widziałem ich wczoraj, jak rozmawiali pod apteką.

Jurek już chciał zripostować wypowiedź brata, gdy odezwała się mama.

– Z Ewą od Kaźmierskich? To bardzo porządna rodzina. Ewka zapowiada się na świetną gospodynię. Jej mama opowiadała, że bardzo chciałyby się uczyć w szkole gospodarstwa wiejskiego.

– To czemu od razu nie mówiłeś, że idziesz z panną na spotkanie – odezwał się ojciec z wyrzutem. – Trzeba to było kręcić?

– Oj, bo z wami to zawsze tak – tłumaczył się Jurek. – Najpierw narzekacie, że się nie uczę i za dużo czasu spędzam poza domem, a teraz dziwicie się, że nie mówię, z kim wychodzę.

– No, już dobrze – załagodził sprawę ojciec. – Wszystko wyjaśnione, a Jurek jak chce, niech spotyka się z tą dziewczyną. Ale wszystko przyzwoicie i o nauce nie zapominaj – przykazał synowi.

– Wy tu gadu-gadu, a czas leci – zerwała się od stołu pani Lipińska. – Pora wychodzić. Szybciej się zbierajcie. Na pogaduszki im się zebrali – gderali.

– Dobrze, dobrze. Zdążymy – uspokajał ją mąż. – Przecież jesteśmy gotowi i już wychodzimy. Tylko ugotuj nam jakiś dobry obiad, prawda, chłopcy?

– Najlepiej ogórkową – zawołał Janek, wybiegając pierwszy, ale po chwili wrócił. wołając – Ojej, chodźcie szybko! Musicie to zobaczyć!

Pozostali szybko podążyli za nim na korytarzyk i skierowali się ku schodom. Janek wskazywał na stopnie. Widniały na nich prowadzące na strych odcisnięte ślady małych stóp.

– To duch – wyszeptła pani Lipińska ze strachem. – Mówiłam, że na strychu coś się dzieje, coś straszy, ale nikt nie chciał mnie słuchać – powiedła po domownikach przerażonym spojrzeniem.

Patrzyli na nią z konsternacją, zupełnie zaskoczeni. Wreszcie odezwał się pan Lipiński.

– Duchy nie robią śladów, co ty opowiadasz, kobieto. Idę na górę i zobaczę, co tam się dzieje!

– Pójdę z tobą, tato – Jurek skierował się na strych.

Janek gotowy był pójść z nimi, ale widząc to, matka zawołała:

– Nie ma mowy, Janek, nie idziesz. Przecież ktoś musi zostać tu ze mną!

Chłopiec z niechęcią zawrócił i stanął przy matce.

Lipiński i starszy syn z lekkim niepokojem weszli na strych. W świetle padającym z dachowego okienka niewiele mogli zobaczyć, zanim oczy nie przyzwyczaiły się do zmroku. Po chwili wśród typowych sprzętów zalegających zwykle na strychach, jak stare meble, pudła czy wiklinowe kosze, dostrzegli coś na kształt postania ułożonego ze starej nieużywanej odzieży.

– Ktoś tu nocował – zdumiał się pan Lipiński. – Mama miała rację.

– Ale kto i jak się tu dostał? – nie mógł nadziwić się Jurek.



– Po prostu uważał, aby wejść po cichutku, póki drzwi na korytarz były jeszcze otwarte – wyjaśnił ojciec.

– A te ślady? – zapytał chłopak.

– To chyba zaprawa murarska i wapno, których wczoraj nie sprzątnąłem z podwórka. Nasz tajemniczy ktoś musiał tam być i pobrudził sobie nogi.

– Ale tato, zwróciłeś uwagę, jakie to małe stópkki?

– Właśnie i to mnie martwi – westchnął ojciec. – Gdzie teraz jest ta osoba z małymi stópkkami? Chodźmy do mamy wyjaśnić jej wszystko, bo pewnie umiera z niepokoju.

– Zaraz. Widzę tu jeszcze coś – Jurek pochylił się nad posłaniem, gdzie leżała mała czerwona kokardka z materiału. – To chyba należało do naszego „ktosia” – powiedział w zamyśleniu, podnosząc kokardkę.

Zeszli na dół i opowiedzieli wszystko pani Lipińskiej. Gdy ta zobaczyła czerwone znalezisko, powiedziała:

– Coś mi to przypomina. Musiałam gdzieś to widzieć. Ale na was już czas. Spróbujemy rozwiązać tę zagadkę, gdy wrócicie na obiad.

Po wyjściu synów i męża jej myśli nadal zaprzętała poranna sensacja. Nagle doznała jakby gwałtownego przebłytku.

– Już wiem! Ale muszę to sprawdzić.

Szybko ubrała się, wzięła koszyk i wyszła po codzienne zakupy. Tym razem zaczęła od piekarni pani Sosnowskiej na Młyńskiej.

– Dzień dobry – zaczęła od wejścia. – Czy widziała pani może tę... – i tu przerwała.

Obok pani Sosnowskiej na niskim krzeselku siedziała dziewczynka, którą wczoraj widziała przed witryną piekarni. Jednak wydała się teraz zupełnie inna. Przede wszystkim była czysta i schludnie ubrana. Miała stosowną do jej wzrostu sukienkę, fartuszek, na nogach sznurowane trzewiki – widać, że noszone, ale w dobrym stanie. Włosy zplecione w dwa porządne warkoczki sprawiały, że jej twarz, mimo że dalej szczupła, straciła swój dawny wystraszony wyraz.

Dziewczynka jadła bułkę z kruszonką i wydawała się mocno szczęśliwa.

– Właśnie miałam zapytać o dziewczynkę – powiedziała zaskoczona pani

Lipińska – ale widzę, że z nią już chyba wszystko w porządku. To pewnie pani zastuga, nie mylę się, prawda? – spojrzała na panią Sosnowską.

– Tak, rzeczywiście – odpowiedziała sklepikarka. – Gdy przyszła dziś wczesnym rankiem, jeszcze przed otwarciem piekarni, zziębnięta i znów patrzyła tak chciwym wzrokiem na pieczywo, pomyślałam, że pewnie od dawna nic nie jadła. Nie można przejść obojętnie wobec głodnego dziecka. Zaczęłam z nią rozmawiać, a gdy ustyszałam jej historię, nie tylko dałam jej jeść, ale zadbałam też o jej higienę i ubranie.

– Czy wie pani, że spędziła ona po kryjomu kilka nocy u nas na strychu, napędzając mi nie lada strachu? Już myślałam, że nawiedza nas duch! – przyznała się pani Lipińska.

– Tak, opowiadała mi, że spała na strychu. To biedna sierota. Przybyła do miasta ze swoimi opiekunami, którzy zatrudnili się sezonowo przy budowie nowej poczty. Nie dbali o nią wcale, musiała sama zatroszczyć się o siebie. Często chodziła głodna, brudna, a wkrótce okazało się, że zabrakło dla niej miejsca do spania. Była szczęśliwa, gdy udało jej się przespać kilka nocy u was na strychu.

– Biedne dziecko – wzruszyła się pani Lipińska. – Dopiero dzisiaj odkryłam, że to ona była tajemniczym „ktosiem” na strychu. Znaleźliśmy to na posłaniu, które sobie urządziła – wyciągnęła w stronę pani Sosnowskiej czerwoną kokardkę. – Co z nią teraz będzie? Musimy jej pomóc!

– Już pomyślałam o tym – oznajmiła pani Sosnowska. – Ja zajmę się dziewczynką. Helenka będzie pomagała mi w piekarni, a ja będę dbała, aby nie działa jej się krzywda i miała wszystko, czego dziecku w jej wieku potrzeba.

– To godne podziwu, że chce pani zająć się dziewczynką – zauważyła pani Lipińska. – Nie każdego byłoby stać na taki gest.

– To już postanowione – stwierdziła pani Sosnowska. – Na szczęście mam warunki, aby pomóc temu dziecku.

– Bardzo się cieszę. Ale będę miała niespodziankę dla moich chłopców, gdy wrócą na obiad! – zaśmiała się pani Lipińska, wychodząc z piekarni. – To się dopiero zdziwią, gdy powiem im, kto był tajemniczym duchem.



JASNO I WYRAŹNIE
KLIPP UND KLAR